Cena egzemplarza

w W.Brytanii 6 d.
w Belgii 5 fr. b.
we Francji 10 fr. fr.
w Szwajcarii 0,40 fr.szw.
w Szwecji 60 öre
we Włoszech 30 lir

Warunki prenumeraty oraz adresy redakcji i administracji na str. 6.

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca o wolność

Rok VII **Wtorek 4 lutego 1947 r.** **Nr 5 (239)**

W NUMERZE

T. BORN — Tworzenie społeczności polskiej na obczyźnie
M. K. DZIEWANOWSKI — Roosevelt z perspektywy
K. Kietlicz-Rayski — Literatura zaciśniętych zębów
A. TOMICKI — „Polacy nie gęsi, też swój język mają"
* * * — Życie kulturalne w Kraju
M. PANKOWSKI — Dwa wiersze
KAROL DICKENS — Uczucie
ON — Teatr nieobecnych
Inż. A. GAC — Zmiany poglądu na budowę materii
ST. STARZEWSKI — Angielska rewolucja i amerykańska kontrrewolucja
W. STODOLNICKI — Kraj imigracji
ST. R. — Przegląd gospodarczy

SZUKAMY WYJAŚNIENIA

W omawianym już artykule wstępnym „Times'a" z dnia 18 stycznia br. na temat Polski zawarta była uwaga, że „bardziej umiarkowana polityka" czynników, rządzących dziś w Polsce, prowadziłaby do rozbrojenia opozycji i wytworzenia prądów bardziej przyjaznych Rosji. Natomiast „jeżeli obecny kierunek (tej polityki) nie ulegnie zmianie — a jutrzejsze zwycięstwo rządu (w Warszawie) jej nie zmieni — Polska prawdopodobnie stanie się w latach najbliższych źródłem nie tyle niebezpieczeństw, co kłopotów a nawet słabości dla Rosji, zamiast być jej stanowczym sprzymierzeńcem, jakim mogłaby i powinna zostać. Za to polityka rosyjska — zawsze zbyt skłonna dążyć do bezwzględnego bezpieczeństwa — musi wziąć na siebie większą część winy".

Rozumowanie „Times'a" jest interesujące, a jego uwaga, że Polska doprowadzona do oporu, może stać się źródłem słabości Moskwy, jest bardzo znamienna. Wszystko zależy jednak od tego, do czego polityka rosyjska zmierza w Polsce i w świecie. Albowiem oba te dążenia są zbieżne i ściśle się ze sobą łączą. Przez Polskę prowadzi dla Rosji szeroki szlak w kierunku świata zachodniego. Polska, mimo wszystkie nieszczęścia, jakie na nią spadły, jest wciąż pierwszym krajem zachodnim, z którym styka się bezpośrednio system moskiewsko-sowiecki. W Polsce następuje pierwsza próba tego zetknięcia i tam też zebrać można pierwsze dowody zamierzeń politycznych i strategicznych Moskwy. Tam odkryć łatwo pierwsze wskazówki, które wyjaśniają dręczące świat pytania, czy Rosja pragnie z Zachodem współpracy czy walki, wojny czy pokoju.

Generalissimus Stalin raz jeszcze, w trzecim z kolei wywiadzie, udzielonym tym razem synowi prezydenta Roosevelta, płk. Elliottowi Rooseveltowi, podkreślał jak najwymowniej, że Rosja pragnie pokoju.

„Żadne wielkie mocarstwo, nawet gdyby jego rząd pragnął to uczynić, nie mogłoby obecnie powołać pod broń wielkiej armii do walki z innym mocarstwem sojuszniczym, gdyż nie można walczyć bez oparcia o swój naród, a narody nie chcą walczyć. Są one zmęczone wojną."

Twierdzenie generalissimusa Stalina, że narody są zmęczone wojną, jest na pewno trafne. Znużone są zwłaszcza ludy sowieckie, wycieńczone szeregiem „piatiletek", których zadaniem było sprowadzenie w końcu na ziemię sowiecką okresu wielkiej szczęśliwości i fantastycznego dobrobytu, czego dotychczas, po trzydziestu latach rządów komunizmu, nie osiągnięto. Mimo wyczerpania wojną, mimo zawodów, jakie sprawił pokój również ludom sowieckim, gdyż dobrobyt ich bynajmniej nie podniósł się wskutek zwycięstwa, a system totalitarny utrzymany został z całą bezwzględnością, nowa „piatiletka" ogłoszona rok temu domaga się od obywateli sowieckich dalszych ofiar, nie zważając zupełnie na ich wyczerpanie i na ich opinię. Jest to chyba dowód, że niektóre rządy o typie totalitarnym nie potrzebują zbytnio oglądać się na poglądy rządzonych i na ich wolę. Potrafią one w razie potrzeby tę wolę łamać.

Z wywiadu płk. Roosevelta z generalissimusem Stalinem nie wynika zresztą, by mówiąc o zmęczonych narodach miał on szczególnie na myśli ludy sowieckie. Odwoływał się on raczej do opinii amerykańskiej, oświadczając dość swobodnie, że „obecny rząd (Stanów Zjednoczonych) roztrwonił moralny i polityczny kapitał zgromadzony przez zmarłego prezydenta (Roosevelta) i to ułatwiło zwycięstwo Republikanów."

Ale nie o to nam chodzi. Z różnych względów Rosja pragnie dziś rozwijać propagandę na rzecz pokoju i rozbrojenia, chce siebie przedstawiać się jako zwolenniczka pokoju. Odpowiedź generalissimusa Stalina na list min. Bevina w sprawie utrzymania przymierza a nawet ewentualnego przedłużenia traktatu sojuszniczego angielsko-sowieckiego jest dalszym tego dowodem. Choć należałoby jeszcze wyjaśnić, do czego zmierzać będą poprawki, które do tego traktatu zaproponuje rząd sowiecki celem usunięcia z niego „zastrzeżeń". Lecz i ten gest pojednawczy w stosunku do Anglii jest wysoce znamienny.

Ale czy wystarczą bili gesty? Po tylu doświadczeniach wszystkie czynniki międzynarodowe będą oczekiwały obecnie bardziej konkretnych dowodów politycznych pokojowości Rosji. W czym bowiem powinna by się ona wyrazić? Nie trudno to ustalić. Wystarczy wymienić takie postulaty, jak zaprzestanie akcji propagandowej przeciwko mocarstwom zachodnim, zaniechanie nacisku na Środkowym Wschodzie, uspokojenie w Grecji, a także całkowite otwarcie obszarów ZSRR dla swobodnej wymiany dóbr, wiadomości, turystyki, druków itd. Nie można bowiem jednocześnie nawoływać do pokoju i stosować system gospodarczy oraz polityczny obozu warowanego. Nie można jednocześnie wzywać do polityki pacyfistycznej i domagać się dla siebie nowych baz strategicznych na obszarach sąsiadów.

Polityka pokojowa Rosji powinnaby zmierzać zaś przede wszystkim do istotnego odprężenia w Europie. Tutaj bowiem Moskwa coraz wyraźniej staje wobec alternatywy: albo Europa wraz z Polską i krajami naddunajskimi oraz bałkańskimi tworzyć będzie obszar wolnych, z czasem sfederowanych narodów, niezależnych od wszystkich mocarstw pozaeuropejskich, albo powstanie w Europie „blok zachodni", za którym stanie Ameryka.

Tworząc tymczasem coraz bardziej zwarty i zdyscyplinowany „niemal na sposób wojskowy" blok wschodni, Rosja prowokuje powstanie „bloku zachodniego", opartego o Stany Zjednoczone. Upór zaś Rosji w utrzymaniu monopolu nad obszarami Europy środkowo-wschodniej wyraził się właśnie w czasie „wyborów" w Polsce. Jest oczywiste, że gdyby Rosja chciała „innych" wyborów, byłyby „inne". Zresztą p. Mołotow odrzucając propozycję amerykańską co do interwencji trzech „wielkich mocarstw" w sprawy polskie wziął pełną odpowiedzialność za przeprowadzenie „wyborów" i za ich wyniki. Rządowi sowieckiemu zależało zatem, by obecny system narzucony przemocą Polsce stał się jeszcze bardziej totalny i by p. Mikołajczyk, okrzyczany w czasie kampanii wyborczej za „zdrajcę" i „agenta Anglii", był całkowicie zdruzgotany i od władzy usunięty.

Decyzję tę wykonano w Warszawie w sposób brutalny, nie krępując się żadnymi względami, ani na zagranicę, ani na Kraj. Nie ukrywano, a różni agenci administracji warszawskiej wręcz przyznali, że metody demokracji zachodniej nie są do przyjęcia w Polsce, gdyż gdyby zostały zachowane, gdyby dopuszczono do naprawdę wolnych wborów, dzisiejsi władcy Warszawy ponieśliby druzgocącą klęskę. A więc utwierdzenie się przy rządach było celem tej całej ponurej i krwawej operacji, które nazwano wyborami.

Ale dlaczego na to się zdecydowano? Dlaczego narażono się na wytworzenie jak najgorszego wrażenia w świecie, ryzykując i to, że naród polski tym bardziej zewrze się w głuchej opozycji w stosunku do narzuconych mu z taką bezwzględnością metod?

Po tym, co stało się w dniu 19 stycznia br., Moskwa niewątpliwie mniej niż kiedykolwiek będzie mogła liczyć na Polskę, jako na dobrowolnego partnera w grze. Sprawa zaś polska stanie się teraz na długo tematem rozpraw międzynarodowych. I choć rozprawy te, (prawdopodobnie na terenie ONZ), nie będą mogły dać na razie praktycznych wyników, mogą się stać one dla Rosji istotnie „kłopotliwe". I to miał zapewne na myśli „Times", gdy stwierdził, że polityka sowiecka w Polsce z punktu widzenia interesów Rosji, jest fałszywa. Tłumaczenie tej polityki koniecznością obrony „tymczasowego rządu jedności narodowej" w Polsce, który jakoby zagrożony jest terrorem podziemnych organizacji w Kraju oraz działalnością polskiej emigracji nie może być przyjmowane poważnie. Jeżeli jest naród na świecie, który odzyskawszy wolność miałby prawo do odpoczynku po bezprzykładnym wysiłku wojennym, to jest nim naród polski. Oszczędzanie krwi musi być też jedną z wytycznych jego polityki. Wiedzą o tym dobrze w Moskwie, gdzie pamiętają również, że Polska była tym krajem, który w okresie swego rozkwitu odrzucał propozycje maszerowania na czele krucjaty na Rosję. Polityki Rosji wobec Polski nie można więc tłumaczyć obawą, że Polska po pozbyciu się komunistów i po odzyskaniu swych praw narodowych oraz państwowych rzuci się na Rosję i rozpocznie z nią świętą wojnę — bo w to nikt nie uwierzy. Przyczyny polityki sowieckiej w Polsce muszą być więc inne. Jakie?

W dniu 6 listopada 1939 roku p. Mołotow uzasadnił w wielkiej mowie sowiecką politykę wobec Polski oraz zabór połowy jej obszarów na skutek układu z v. Ribbentropem następującym argumentem:

„Jest to jeden z największych sukcesów naszej polityki zagranicznej w czasach ostatnich... Świat kapitalistyczny został zmuszony ostatnio oddać nieco terenu; i Związek Sowiecki po wcieleniu Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi powiększył swój obszar, a również swoją ludność o 13 milionów ludzi. Na tej podstawie można powinszować Związkowi Sowieckiemu. Nasza sowiecka rodzina ze 170 milionów zwiększyła się do 183 milionów."

Ani słowa te, ani fakty, które skłoniły do ich wypowiedzenia, nie zostały cofnięte. Przeciwnie, od tego czasu Związek Sowiecki powiększył się o dalsze obszary, które pozwalają mu rozwijać plany na przyszłość. I dotychczas są to jedyne argumenty, które tłumaczą metody i cel polityki sowieckiej w stosunku do Polski, oraz uzasadniają „wybory" w Polsce tak, jak one były przeprowadzone. Świat „kapitalistyczny" został zmuszony znowu oddać nieco terenu..

RP.

PRASA BRYTYJSKA O KOMEDII WYBORCZEJ W POLSCE

CO DALEJ?

Zamieszczamy poniżej wyjątki z komentarzy londyńskiej prasy tygodniowej na temat wyników tzw. wyborów w Polsce.

„Time and Tide".

„Zważywszy, że niedzielne wybory w Polsce odbyły się dokładnie tak jak przewidywano, zagadnienie pozycji Polski w świecie powojennym staje przed mocarstwami niemal w tej samej formie, co przed dwoma laty w Jalcie...

„Na długo przed tą niedzielą reżimowa kampania w celu usunięcia opozycji wykazała ponad wszelką rozsądną wątpliwość, że wybory będą przeciwieństwem swobodnych i nieskrępowanych."

„Powstaje pytanie, „Co dalej?"...

„...Tymczasem w Londynie p. Bevin zastanawia się nad stanowiskiem, jakie ma zająć rząd brytyjski. Bo jakieś stanowisko zająć musi. Jedną z trudności, wobec których stoi p. Bevin jest to, że każdy z oczywistych kroków, jakie mogłyby być poczynione dla wyrażenia niezadowolenia obecnemu polskiemu systemowi (w kraju), pociągnąłby za sobą obarczenie umęczonego już narodu polskiego grzechami tymczasowego rządu. Odmowa na przykład uznania i wycofanie reprezentacji dyplomatycznej wywołałaby głęboką depresję wśród większości Polaków i byłaby na rękę komunistom, odcinając Polskę jeszcze wyraźniej od Zachodu. To samo z pewnością możnaby powiedzieć o wszelkich usiłowaniach ukarania rządu tymczasowego za jego złe zachowanie wyborcze przez odmowę potwierdzenia odstąpienia na rzecz Polski b. terytorium niemieckiego, otrzymanego jako kompensatę za obszary wschodnie, które Polska zmuszona była odstąpić Rosji.

„Niewykonanie warunków umów jałtańskich i poczdamskich wydawałoby się, w myśl litery umów, sprawą mocarstw, które je podpisały. Ale negatywna odpowiedź Rosji na notę Stanów Zjednoczonych w tej sprawie sprawia, że mo liwość połączonej akcji ze strony wielkich mocarstw wobec Polski jest istotnie bardzo oddalona. Inna możliwość, to wniesienie sprawy do Narodów Zjednoczonych, jako, że można zupełnie dobrze twierdzić, że sytuacja w Polsce jest conajmniej takim zagrożeniem pokoju, jak sytuacja w Hiszpanii. Wybierając pomiędzy tym czy innym względnym złem, rząd brytyjski staje sam, tak jakw Jalcie wobec **„fait accapli"** (faktu dokonanego), którego nie da się pogodzić z brytyjskimi zasadami i zobowiązaniami. To, że dylematu nie rozwiązano w ciągu dwu lat po Jalcie jest tylko okrutnym potwierdzeniem starej prawdy, że „appeasement" nie opłaca się i, że choć w swoim czasie mógł się on wydawać jaknajbardziej nieunikniony, to jednak w końcu przysparza więcej kłopotów, aniżeli ich na początku oszczędza.

„Ze wszystkich stron nadchodziły, w ciągu ostatnich dwóch tygodni, biadania, że ostatecznie, warunki jałtańskie nie zapewniły Polsce wolności. Wielu spośród żałobników z ostatnich tygodni mogło było wcześniej uznać, że nigdy nie było prawdopodobne, aby te warunki mogły to (wolność) zapewnić."

„The Spectator" (w artykule pt. „Farsa polska"):

„Z uporem ćmy w płomieniach świecy p. Mikołajczyk wpadał sam we wszystkie (sytuacje, w których powstawały) możliwości do nadużyć.

„...Polska przeszła rewolucję. Jej obecny rząd jest bezwzględny i zdecydowany nie tylko na współpracę z Rosją, ale na ślepo naśladowanie rosyjskich instytucji i metod. Tego rodzaju rządu nie da się zmienić protestami i apelami."

„The New Statesman and Nation":

„Przypuśćmy, że głosowanie w ubiegłą niedzielę było wynikiem rozmaitego rodzaju nacisków i że należałoby odrzucić duży odsetek z większości rządowej, aby otrzymać liczby prawdziwego głosowania. Jakież pożyteczne kroki mogą powziąć Londyn i Waszyngton, aby zademonstrować swe niezadowolenie z wyników? Wiadomo, że Amerykanie pragną nawiązania stosunków handlowych z Polską, a p. Modzelewski, polski wiceminister spraw zagranicznych, wyraził po wyborach wobec naszego korespondenta nadzieję, że teraz będzie można zawrzeć umowę handlową z W. Brytanią. Odmowa uznania nowego rządu lub udzielenie mu tylko „tymczasowego" uznania, dałyby tylko dwa pewne wyniki. Zmierzałoby to do wywołania w Polsce wrażenia, że zachodnie demokracje popierają polską reakcję i terroryzm(?!) i popchnęłoby w stronę ZSRR nawet (?) tych Polaków, którzy najbardziej pragną utrzymania przyjaznych stosunków z Zachodem."

„The Economist":

„Wyniki wyborów polskich wykazują oczekiwaną, przerażającą większość na rzecz bloku rządowego. Podobnie jak w wyborach rumuńskich i bułgarskich ubiegłej jesieni, istnieją poważne powody do powątpiewania o prawdziwości tych wyników. Wprawdzie zagraniczni dziennikarze donieśli, że wybory odbyły się w porządku, ale to niewiele mówi. Wielu kandydatów stronnictwa p. Mikołajczyka „zdyskwalifikowano", a obserwatorzy mieli rzadko, lub nie mieli wcale sposobności widzieć, co robiono z urnami wyborczymi po zebraniu głosów. W niektórych miejscowościach zachęcano głosujących, aby maszerowali wspólnie do wyborów i aby głosowali otwarcie za rządem. Szczególne dowody, za i przeciw, będą bez wątpienia zebrane w najbliższych tygodniach. Ale istotnym faktem jest to, że nikt w Polsce, ani poza Polską, czy jest przyjacielem czy też wrogiem rządu, nie wierzy (bez względu na to, co mówi publicznie) że wyniki są odbiciem opinii. Rząd polski jest bez wątpienia rzeczywiście popierany? przez część polskiego narodu, ale nie jesteśmy bardziej w możności niż przed wyborami, powiedzieć jak wielką jest ta część...

„Rząd brytyjski i brytyjska opinia publiczna są szczerze oburzone. Uznanie obecnego rządu polskiego było przez W. Brytanię udzielone w Jalcie pod wyraźnym warunkiem, że odbędą się „swobodne i nieskrępowane" wybory. Wypełnienie tej obietnicy było uważane przez większość narodu brytyjskiego za moralne zobowiązanie wobec dzielnego i lojalnego sojusznika. Obietnica była dana, a teraz została złamana"...

„...Wybór, przed którym staje rząd brytyjski, jest więc nieprzyjemny, ale odkładać go długo nie można. Jeżeli interesy brytyjskie wymagają regularnych dyplomatycznych i handlowych stosunków z Polską, to Brytyjczycy muszą utrzymać stosunki z obecnym reżimem... „Alternatywa druga polega na zdecydowaniu, że zasada moralna przeważa nad innymi i na zerwaniu stosunków z obecnym reżimem. Oznacza to poświęcenie wszystkich brytyjskich interesów w Polsce i dalsze pogorszenie stosunków anglo-sowieckich...

„Jeżeli obietnica jałtańska była dana szczerze, a nie była tylko pokryciem dla dyplomatycznego sprzedania (sell-out) Polaków, to rząd brytyjski byłby konsekwentny powracając do polityki nie-uznania. Ale w dyplomatycznej historii owego czasu niewiele wskazuje, że rokowania jałtańskie były szczere. Porozumienie, zrobione nieuczciwie (dishonestly made) powróciło teraz na grzędę w postaci trudnego i niewygodnego dylematu dyplomatycznego. Rząd brytyjski może mieć tylko do samego siebie żal, jeżeli — używając ideału swobodnych wyborów dla ratowania pozorów (as a „face-saver") w roku 1945, szuka jeszcze innego w roku 1947."

„The Sunday Times" (w artykule Scrutatora):

„Przeprowadzone ubiegłej niedzieli w Polsce wybory powszechne były, jak świadczą wszyscy szczerzy obserwatorowie, zupełnie nie-swobodną „spreparowaną" aferą. Innymi słowy nastąpiło właśnie to co, jak to rządy rosyjski i polski obiecały W. Brytanii i St. Zjednoczonym, nie powinno było nastąpić..."

„...W zagadnieniu, które w ten sposób powstało, nie chodzi o wyborcze umizgi, ale o coś znacznie szerszego. Chodzi o to, czy bardzo duża część Europy (mowa o obszarze pomiędzy morzami Bałtyckim i Czarnym, przyp. red. O. B.) i narody na niej zamieszkujące, mają nadal być rządzone wbrew swej woli przez „kukły" Rosji, czy też ma być im zwrócona wolność. I nie należy tutaj przypuszczać, że kukły jedynie „odrabiają" robotę (carry on), dopóki Europa nie będzie urządzona. Przeciwnie, pragną one pospieszną i gwałtowną polityką wycisnąć poddaństwo na barkach poddanych — polityką wzorowaną na polityce Sowietów..."

„Co mają z tym uczynić W. Brytania i St. Zjednoczone? Na to pytanie nie łatwo jest dać odpowiedź, a jednak odpowiedź dana być musi. Zignorować to, to znaczy abdykować, a w sprawach zagranicznych abdykacje opłacają się rzadko lub nigdy. Obrabowano nas otwarcie z tego, czego mieliśmy prawo oczekiwać na podstawie pełnych i ogłoszonych wyników rokowań, a jeżeli tego się nie dotrzymuje, to co się dzieje z samymi podstawami przyszłych rokowań?

„P. Bevin w swym wielkim przemówieniu na temat polityki zagranicznej z 22 października ub. r. sugerował kierunek, w jakim powinniśmy iść w tym wypadku. Częścią składową wzajemnych zobowiązań była — mówił — nasza zgoda na uznanie linii Odra Nissa, jako granicy między Polską a Niemcami. Gdyby obietnica (przeprowadzenia wolnych wyborów — przyp. red. O. B.) została złamana, to moglibyśmy wycofać uznanie (granicy). Ale czy to jest nadal w praktyce do przeprowadzenia? Nie wydaje się, aby minister spraw zagranicznych był jeszcze tego zdania. Niechęć ze strony W. Brytanii do linii Odra-Nissa była uzasadniona, gdyż pociągało to za sobą usunięcie wielu milionów Niemców z obszarów, które zamieszkiwali oni od wieków, a nie można było tego przeprowadzić bez spowodowania (tak jak się to stało) strasznych cierpień na olbrzymią skalę. Ale teraz już to się stało, i jest już po wszystkim: odrabianie tego z powrotem nie miałoby wiele sensu. Dla nas takie usiłowania oznaczałyby tylko pójście na rękę rosyjskiej propagandzie, która stara się doprowadzić nas do zatargu z polskim nacjonalizmem.

„Wobec tego Foreign Office musi znowu przemyśleć i lepiej niech to uczyni bez nieoficjalnych sugestii prasowych."

Polonia Amerykańska w New Yorku zargalizowała przed „konsulatem" polskim manifestację protestacyjną przeciwko „wyborom" w Polsce, które odbyły się wbrew wszelkim zasadom demokracji, jak wszystko co się dzieje za „żelazną kurtyną"

„...Myśmy przyszłością narodu" **Fot. W. Ostrowski**

KONIEC UDAWANIA

Podajemy obok wyjątki z komentarzy londyńskiej prasy tygodniowej na temat przeprowadzonych w Polsce „wyborów". W chwili, gdy piszemy te słowa, nie jest jeszcze wiadome, jakie stanowisko zajmą rządy W. Brytanii i St. Zjedn. wobec otwartego złamania jałtańskich i poczdamskich zobowiązań.

Ale już jest wiadome i pewne, że smutny eksperyment p. Mikołajczyka zakończył się zupełnym niepowodzeniem, bo zresztą powieść się nie mógł.

P. Mikołajczyk uwierzył w szczerość jałtańskich porozumień i obietnic, które dziś prasa brytyjska otwarcie nazywa nieszczerymi i nieuczciwymi. Były one, podobnie jak umowy teherańskie, narzuconymi W. Brytanii w szczególnie ciężkiej chwili przez Sowiety i osobistą politykę p. Roosevelta warunkami „kapitulacyjnymi". Toteż rozumiano ją jako „malum necessarium", a nie jako fundamenty przyszłości. P. Mikołajczyk źle ocenił sytuację.

Źle również ocenił możliwości ze strony mocarstw zachodnich, jeżeli chodzi o wymuszenie wykonania danych im zobowiązań w okresie następującym bezpośrednio po Jalcie. Gdyby one istniały, to może nie byłoby Jałty ani Teheranu. W tych warunkach nadzieja na jakieś zwycięstwa na mniejszym terenie, gdy się przegrało na wielkim mogły być tylko łudzeniem siebie i innych. Dla tego celu nie warto było poświęcać zasad i ludzi, to była zła ocena celów i metod sowieckich.

P. Mikołajczyk był wicepremierem rządu, wobec którego znajdował się w opozycji. Brał odpowiedzialność za politykę, w której nie miał nic do powiedzenia. Ułatwiał, wbrew własnym chęciom, grę, która miała na celu zniszczenie jego samego. Przyczynił się do podtrzymania na Zachodzie mniemania, że w Polsce dzisiejszej można być w opozycji i że w wyborach może zwyciężyć ten, kto ma za sobą poparcie narodu. Dziś już nikt nie ma tych złudzeń, ale ich utrzymywanie przyniosło sprawie polskiej niepowetowane szkody.

Okazało się, jak bezużyteczne były ofiary składane przez p. Mikołajczyka na rzecz tak zwanego rozsądku, który wkrótce okazał się brakiem realizmu; O cóż więc chodziło? O wykazanie przed światem w wyborach, że naród nie jest po stronie narzuconego mu przez Sowiety rządu tymczasowego? Ależ co do tego nikt rozsądny na Zachodzie nie miał nigdy najmniejszych wątpliwości. Któryż to naród czeka zbawienia od najeźdźcy? A jeżeli zamierza się pozwolić na prawdziwe wybory, to pocóżby narzucano dyktatorski rząd? Czy po to, by tworzyć przeciwko sobie opozycję?

To wszystko, co się stało, stałoby się bez p. Mikołajczyka. I bez jego zgody na Jałtę. I bez rozbijania polskiej emigracji niepodległościowej. I bez jego iluzorycznego wicepremierostwa. Ktoś inny o tym decydował, ktoś inny musiał wziąć za to odpowiedzialność. Nikt nie odmówi p. Mikołajczykowi uporu i twardości, od czasu kiedy znalazł się z powrotem w Kraju. Ale jego ocena sytuacji nie była oceną męża stanu. Jego walka była bezużyteczna.

Głosy prasy brytyjskiej są równie szczere w ocenie wyników komedii wyborczej, jak i szczere w swojej bezradności wobec niepowodzenia prób p. Mikołajczyka. Dopóki Polska jest w „strefie" sowieckiej, dopóty będzie rządzona przez sowieckie „kukły" i o „swobodnych oraz nieskrępowanych wyborach" nie może nawet marzyć. Już dziś otwarcie śmieją się z tych, którzy wierzyli, że rozwiązanie zagadnienia polskiego znaleźć można w kombinacjach wyborczych przy kompromisach partyjnych. Trzeba je szukać w innej płaszczyźnie. Jest ono w innym, rozsądniejszym i sprawiedliwszym układzie stosunków europejskich, związanych z ogólnym układem stosunków światowych.

W okresie, który nastąpił po zakończeniu działań wojennych wzniesiono tu i tam szereg budowli bardzo tymczasowych, przeznaczonych na „przetrzymanie" powojennego chaosu. Z czasem okazało się, że w nich nie tylko „przetrzymać", ale i zgoła wytrzymać niepodobna. Początkowo usiłowano zaradzić przemilczaniem najpoważniejszych trudności. Ale i to było tylko chwilowym lekarstwem. Okres obecny jest okresem coraz to większej szczerości i wzrastającego krytycyzmu. A doświadczenie uczy, że stan, z którego wszyscy niemal są niezadowoleni, długo utrzymać się nie da.

Reakcja opinii brytyjskiej na owe „wybory" świadczy o tym, że w sprawie polskiej skończył się okres „udawania". Udawania, że rząd warszawski jest w swych decyzjach „niezależny i suwerenny". Udawania, że się rzeczywiście liczy na to, iż naród polski będzie mógł swobodnie wyrazić swą wolę; udawania, że chodzi o jakieś różnice w programach politycznych, czy społecznych. Mówi się teraz zupełnie po prostu, że chodzi tylko o to, czy ma być wolność, czy niewola.

I zgodnie świadczą te głosy, iż mocarstwa zachodnie stanęły wobec decyzji, przed którymi uchylić się nie mogą. Jakiekolwiek będą te decyzje, będą one musiały być powzięte na podstawie przerażająco jasnej polskiej rzeczywistości, której już nie mogą zakryć żadne złudne nadzieje na „zmianę kierunku" ze strony rzeczywistych władców Polski ani papierowe zasłony gabinetowych kompromisów.

Wolność lub niewola.

JAN PODOLSKI

TWORZENIE SPOŁECZNOŚCI POLSKIEJ NA OBCZYŹNIE

napisał TADEUSZ BORN

Przedkładamy naszym Czytelnikom dalszy ciąg rozważań p. Tadeusza Born jako materiał do dyskusji.

Wszędzie, gdzie tylko znajduje się gromada Polaków — niepodległościowców na obczyźnie, stanie przed nami problem racjonalnego zorganizowania naszej własnej społeczności w ramach i na terytorium innego społeczeństwa, obcego nam narodowo. Rozwiązanie tego zagadnienia w każdym oddzielnym przypadku, nie jest oczywiście ani rzeczą łatwą ani szybką, dlatego też wydaje się słuszne przedyskutowanie publicznie i wszechstronnie całości spraw.

W niniejszym artykule, który nie rości sobie pretensji ani do wyczerpania tematu, ani do sformułowań ostatecznych, postaram się omówić następujące kwestie: 1) zasadniczy cel zorganizowania społczności polskiej na obczyźnie, 2) znaczenie stworzenia zorganizowanego społeczeństwa polskiego w W. Brytanii, 3) problem t.zw. dostosowania się do warunków zewnętrznych, 4) zagadnienie gospodarki materiałem ludzkim, 5) problem świadomości społecznej w naszych warunkach na obczyźnie oraz 6) zasady powiązania organizacyjnego.

Ze względu na obszerność spraw starać się będę raczej wypunktować zagadnienia aniżeli je analizować i rozwiązywać.

Cel zorganizowania społeczności polskiej na obczyźnie musi być postawiony i sformułowany jasno, wyraźnie i mocno: organizujemy się, w jakichkolwiek warunkach znaleźlibyśmy się, nie dlatego, aby stworzyć formę przejściową do zlania się z jakimkolwiek obcym społeczeństwem, ale dlatego, aby później, gdy nadejdzie czas, móc przjść w jaknajlepszej formie duchowej i materialnej do własnego społeczeństwa polskiego w Kraju. Pobyt w jakimkolwiek kraju traktujemy jako etap w naszej drodze do Polski, do której wrócić chcemy i wrócimy.

Celem zorganizowanego społeczeństwa polskiego na obczyźnie nie jest tylko stworzenie możliwie najlepszych warunków przetrwania indywidualnego i zbiorowego, ale aktywna działalność, mająca na celu zwiększenie naszego dorobku ogólnego i stworzenie dogodnych warunków dla realizacji celu, który stanowi sens naszego pobytu poza Krajem.

Takie podstawowe założenia muszą być brane bezapelacyjnie pod uwagę przy wszelkich naszych rozważaniach w tej dziedzinie i decyzjach.

Wielkie znaczenie zorganizowania społeczności polskiej na terenie W. Brytanii wynika jasno z następujących stwierdzeń: 1) będzie to niewątpliwie jedno z najliczniejszych skupisk polskich, powstałych po wojnie; 2) jego skład osobowy daje możność stworzenia możliwie pełnej organizacji społecznej; 3) w stosunku do innych środowisk polskich będzie ono odgrywało rolę swego radzaju „macierzy", z którą utrzymywać będą one ścisły kontakt; 4) może być zorganizowane stosunkowo najszybciej, a przez to samo stanowić będzie wzór i przykład dla innych skupisk, dając jednocześnie sumę niezbędnych doświadczeń; 5) warunki zewnętrzne będą dla naszej pracy niewątpliwie lepsze na wyspie niż gdziekolwiek indziej, zapewniając względne zabezpieczenie przed zakusami wrogich nam sił.

Przy tej okazji nie będzie od rzeczy uprzytomnienie sobie, że będziemy w większym porządku i w stosunku do gospodarzy naszych mogąc się im zaprezentować (po likwidacji form bytowania wojskowego) i współżyć z nimi nie jako anarchiczne i rozpuszczone zbiorowisko, lecz jako grupa, ujęta w karby dyscypliny społecznej, tak cenionej w tym kraju.

T zw. dostosowanie się do warunków zewnętrznych, z którymi, jeśli nie chcemy działać w próżni, liczyć się musimy w życiu codziennym, zawiera w sobie bardzo niebezpieczny dla przyszłości moment ewentualnego oportunizmu. Jest rzeczą wiadomą, że w każdej społeczności istnieją ludzie skłonni z różnych względów, do zbyt rychłego i zbyt daleko posuniętego „dostosowania" się, bardzo często opartego nie na istotnych koniecznościach, lecz raczej na przewidywaniach lub nawet przywidzeniach. Skłonni są oni do rezygnowania z walki, z góry przewidując, najczęściej niesłusznie, niemożność zrealizowania zamierzeń. To „wygodnictwo", jeśli chodzi o konkretny omawiany teren W. Brytanii, już się w wielu wypadkach przejawia i obejmuje zarówno część tych, którzy są tu zasiedziali i „doświadczeni", jak i część nowoprzybyłych.

Nie analizując tego zjawiska głębiej (którego podłoże psychiczne oraz mechanizm jest dość skomplikowany) ograniczam się jedynie do stwierdzenia, że stanowi ono duże niebezpieczeństwo. Rozwój jego może w konsekwencji doprowadzić do zatraty tego, co stanowi naszą chlubę i może nas, w najlepszym wypadku, sprowadzić do poziomu emigracji zarobkowej.

„Dostosowanie" się do warunków zewnętrznych musi być wyraźnie ograniczone do pewnych granic których przekroczyć nie wolno.

Doświadczenia dotychczasowe wyraźnie wykazują, że nie naciski zewnętrzne, lecz psychiczna gotowość do ulegania im, zanim działać one zaczną, jest pierwszą i podstawową przyczyną zła. Drugą zaś nieumiejętność czy niechęć, gdy naciski zewnętrzne już działają, do przeciwstawienia się im w odpowiedni sposób.

W związku z powyższym wysuwa się **problem gospodarki posiadanym materiałem ludzkim.** Posiadamy stosunkowo skromny zasób sił ludzkich, zarówno z ilościowego jak i jakościowego punktu widzenia. Wynikają stąd następujące konieczności: 1)jak najbardziej racjonalnego zużytkowania ludzi, z pracą społeczną już związanych i zapoznanych z nią; 2) wydobycia na powierzchnię ludzi, którzy z różnych względów w tej pracy udziału nie brali, aczkolwiek posiadają odpowiednie warunki; 3) przygotowanie kadr nowych, młodszych pracowników społecznych.

Jeśli chodzi o punkt pierwszy, to należałoby zwrócić uwagę przede wszystkim na przemyślany dobór ludzi na stanowiskach kierowniczych. Zwłaszcza, w związku z poruszoną wyżej kwestią „dostosowania się", należy, bez lekceważenia, ale i bez zbytniej ufności, popatrzeć na ludzi t.zw. „doświadczonych i zorientowanych w terenie". Należy również ostrożnie podchodzić do ludzi, którzy przechodząc z wojskowych form na cywilne, nie potrafią w dostatecznym stopniu przełamać się psychicznie i przestawić na nowe tory myślenia i działania. Mówiąc o doborze mam na myśli nie mianowania czy wyznaczania, lecz wybór, dokonany przez zgromadzenia czy instytucje do tego powołane.

To samo dotyczy wydobycia nowych ludzi, posiadających warunki do pracy społecznej i wciągnięcia ich do niej. Są to najczęściej ci, którzy pracując społecznie przed wojną, w okresie pobytu w wojsku byli od tego typu pracy odsunięci. Wielu z nich cierpi na pewien kompleks niższości, wielu ma obecnie pewne, mniej lub więcej widoczne urazy psychiczne, wielu jest zniechęconych, rozżalonych itp. — niemniej jednak trzeba ich podeprzeć, wzmocnić, ułatwić sytuację życiową.

Jeśli chcemy myśleć długofalowo, to przygotowanie nowych, młodszych pracowników i kierowników społecznych jest sprawą zasadniczej wagi. Wydaje się coprawda, że nieustabilizowana jeszcze nasza sytuacja, zmuszająca do myślenia o bezpośrednich i aktualnych kłopotach, skłaniać będzie do odsuwania tej właśnie sprawy na dalszą przyszłość — niemniej jednak w tej chwili są warunki do częściowego przynajmniej rozpoczęcia prac w tym kierunku.

Do całości problemu gospodarki materiałem ludzkim musi być również dodana kwestia przeprowadzenia szerokiej akcji, uświadamiającej wszystkich członków naszej gromady, aby przez czynny udział w życiu społecznym ułatwili pracę wybranym przez siebie kierownikom.

Na tak zw. **świadomość społeczną** składają się conajmniej dwa elementy: a) poczucie jedności wewnętrznej, oraz b) poczucie odrębności w stosunku do innych społeczeństw.

Rozpatrując kwestię poczucia jedności wewnętrznej, jako pewnego gromadnego faktu psychicznego, musimy stwierdzić, że z samego faktu przebywania na obczyźnie zwiększa się ilość i natężenie sił działających raczej odśrodkowo przy jednoczesnym osłabieniu niektórych sił dośrodkowych. Jest to fakt, z którym przy wszelkich pracach organizacyjnych, jako z elementem destrukcyjnym, musimy się liczyć bardzo poważnie. Dla przykładu omówię jeden z procesów psychicznych, dokonujących się w umysłowości żołnierskiej w chwili obecnej.

Na tle długoletniego przebywania w wojsku, obok powszechnego i dość głębokiego odczuwania znużenia nim i zmęczenia robieniem wszystkiego na rozkaz, wspólnego jedzenia, wspólnego spania itp., występuje wtórnie jak gdyby, utożsamienie wszelkiej gromady społecznej z pojęciem oddziału wojskowego. Wielu żołnierzy, między tymi dwoma pojęciami postawiło, zupełnie oczywiście niesłusznie, znak równości. Na tle ogólnych przeżyć psychicznych jest to zjawisko zupełnie wytłumaczalne i, w gruncie rzeczy, przejściowe.

Niebezpieczeństwo jego jednak polega na tym, że demobilizowany żołnierz, znajdujący się jeszcze w tym właśnie stanie psychicznym, podejmuje pewne decyzje o charakterze raczej odśrodkowym, których konsekwencje trudno będzie później odrobić. Dlatego też wydaje się rzeczą słuszną stworzenie, jeszcze w okresie kiedy organizacja dotychczasowa całkowicie działać nie przestała, a więc w obozach PKPR, jako etapie przejściowym do życia cywilnego, takich warunków bytowania gromadnego, któreby żołnierza, nie na drodze „pouczeń" czy „pogadanek", ale w drodze praktyki wyprowadziły z tego błędnego mniemania. Żołnierz nie może i nie powinien wyjść z obozów do życia cywilnego z urazem psychicznym, że się „wyzwolił", lecz musi być świadom, że odchodzi od gromady, z którą był i jest związany rozlicznymi więzami, i której był aktywnym i pełnoprawnym członkiem, a nie biernym pionkiem.

Proces ten dokonać się musi możliwie szybko i to w ramach tej organizacji, w jakiej obecnie żołnierz przebywa, gdyż tylko wtedy zapewnione będzie wyjście w cywilne życie społeczne gromady żołnierskiej, jako całości, z tymi wszystkimi walorami ideowymi i społecznymi, które nadawały postawie naszego wojska charakter ponadpartyjny, ponadpartykularny. Jeśli tak się nie stanie, i żołnierz do pełnej świadomości społecznej dochodzić będzie w cywilu, to wówczas proces ten przebiegać będzie raczej ścieżkami partykularnymi. Uświadomić żołnierza będą pewne grupy w myśl swoich, nie zawsze dośrodkowych, tendencji.

Istotą zaś sprawy jest to, aby każdy członek społeczności polskiej czuł się przynależnym do **całości** społeczeństwa na obczyźnie, a nie do tej lub innej jego części, aby więc interesy i cel **całości** społeczeństwa miał na uwadze, a nie jego części. Gdy to zamierzenie zostanie osiągnięte, wówczas wzmocniona zostanie siła dośrodkowa wynikająca z dobrowolnej decyzji każdego z nas pozostania na obczyźnie.

Aczkolwiek niektórzy obserwatorzy skłonni są w tej chwili twierdzić, że żołnierz, zajęty głównie swymi osobistymi troskami, wszelkie sprawy ogólne odsunął na plan dalszy, to jednak sąd taki jest fałszywy i oparty na obserwacjach zupełnie powierzchownych. Niewątpliwie, żołnierz mówi głośno o swych troskach, martwi się o swój los i pobiera decyzje takie, które uważa za korzystne dla siebie: a co będzie z Polską i z naszą walką o nią? Czy w tych warunkach, w jakich się znajdujemy obecnie i znajdziemy w niedalekiej przyszłości, można będzie tę walkę prowadzić dalej?

Ta troska o Polskę jest i powinna być w dalszym ciągu głównym elementem poczucia naszej jedności wewnętrznej. Każdy, kto się poczuwa do uczestnictwa w walce o Niepodległość Polski musi być aktywnym członkiem społeczności polskiej na obczyźnie. To dotyczy w jednakowym stopniu jednostek, jak i całych grup — zorganizowanych czy niezorganizowanych.

Rozpatrując drugi element świadomości społecznej, a mianowicie poczucie odrębności w stosunku do społeczeństwa obcego, stanowiącego całość dla samego siebie, musimy również stwierdzić, że poszczególne czynniki składowe wskutek przebywania na obczyźnie odmiennie się kształtują niż w warunkach normalnych. Obok nowych, wzmacniających to poczucie, a więc: tęsknoty do Kraju, głębokiej świadomości obywatelskiej i postawy ideowej, z której wynikała decyzja pozostania poza Krajem, żalu do W. Brytanii za jej stanowisko polityczne itp. istnieją i będą się liczbowo i jakościowo zwiększać powiązania ze społeczeństwem brytyjskim, które na to poczucie odrębności wpływać będzie niwelująco, a więc: nasza przynależność do kultury zachodniej i pęd, aby w czasie naszego pobytu jak najwięcej jej zaczerpnąć; nasze rozproszenie we względnie niewielkich grupach po terenie całej W. Brytanii, trudności w stworzeniu wszędzie własnych ośrodków organizacyjnych, kulturalnych, szkoleniowych, rozrywkowych itp., mogących konkurować pod każdym względem z analogicznymi instytucjami tutejszymi, związki małżeńskie itp. Notuję tu tylko te zagadnienia, nie przystępując do rozważań szczegółowych, gdyż każdemu z nich należałoby poświęcić oddzielny zupełnie artykuł.

Całe to zagadnienie łączy się z podstawową kwestią i może najbardziej decydującą o powodzeniu czy niepowodzeniu, a mianowicie **kwestią powiązań organizacyjnych.**

Zagadnienie to w naszych obecnych warunkach na wyspie brytyjskiej rozpada się na: a) kwestię stosunku do polskich organizacji już istniejących; b) konieczności stworzenia organizacji nowych; c) kwestię ustosunkowania się do organizacji wielkobrytyjskich. Każda kwestia — to temat sam dla siebie, dlatego też nie wchodząc w szczegółowe rozważania, muszę jednak podkreślić, że conajmniej dwie zasady powinny nam przyświecać przy pracy organizacyjnej: 1) tendencje dzielące, odśrodkowe czy jakkolwiek je nazwiemy — winny być bezwzględnie z naszego życia usunięte. Nie może i nie powinno być dwu organizacji tam, gdzie istota sprawy tego nie wymaga. Tak jak nie może być dwu stowarzyszeń kombatantów, tak nie powinno być dwu czy więcej rodzajów związków zawodowych (nie mówię oczywiście o związkach branżowych, tylko centrali). To na co możemy sobie pozwolić we własnym społeczeństwie, nie powinno mieć miejsca na obczyźnie. Tendencje unifikacyjne winny być dominujące; 2) drugą zasadą winno być objęcie związkami organizacyjnymi wszystkich możliwości dziedzin naszego życia społecznego, aby nie zostawić bezpośredniego pola działania i oddziaływania organizacjom obcym, jak również, aby nie zostawić ludzi samym sobie, zdanych wyłącznie na własne siły i przemyślność.

Starałem się wypunktować niektóre, jak mi się osobiście wydaje — najważniejsze kwestie, związane z planowym i racjonalnym stworzeniem zorganizowanego społeczeństwa polskiego na obczyźnie. Jeśli artykuł niniejszy stanie się początkiem możliwie wyczerpującym dyskusję, uważać będę, że spełnił on swe zadanie.

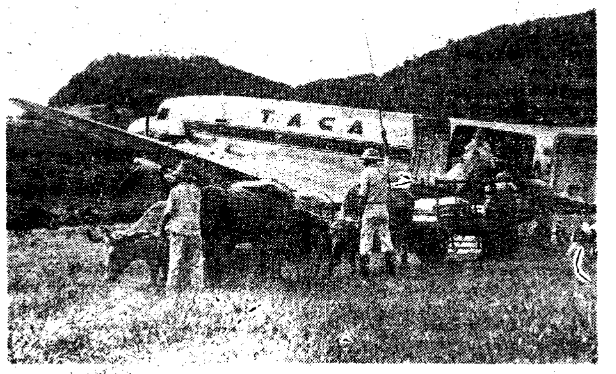

Transport zboża do kopalni złota w La Luz w Nikaragui odbywa się samolotem

Roosevelt z perspektywy

U progu drugiej rocznicy zgonu Prezydenta Roosevelta, w miarę jak ujawniane zostają dokumenty dyplomatyczne z okresu Teheran — Jałta, polityczna jego sylwetka ukazuje się nam w coraz to nowym świetle.

Do chwili wybuchu wojny patrzyliśmy nań jako na reformatora społecznego, twórcę „New Dealu", głosiciela haseł pokojowej współpracy między państwami, opartej na prawie narodów.

W pierwszym okresie wojny, do schyłku r. 1941 był on dla nas uosobieniem szczytnych celów, o które miała toczyć się wojna, a zarazem szafarzem bezmiernych zasobów „arsenału demokracji"; był apostołem czterech wolności, współautorem Karty Atlantyckiej i inicjatorem ustawy „o pomocy walczącym demokracjom", czyli „lease and lend", nadzieją wolnego świata.

Powitanie Prezydenta Roosevelta w Jałcie

Z chwilą wciągnięcia Ameryki w zatarg zbrojny, Roosevelt, reformator — apostoł przekształcił się w stratega — dyplomatę, planującego wielkie operacje wojenne i konferencje wykreślające na nowo mapę świata, decydujące na długie lata o losach milionów ludzi. Szczytowy okres tej działalności przypada na lata 1943, 1944 i początek 1945, z Teheranem i Jałtą jako symbolami. Nie tylko dla Polski, lecz i dla całej Europy Środkowo-Wschodniej symbole te mają swą groźną wymowę. Decyzje powzięte na tych konferencjach, tak zresztą jak i cała wojenna polityka amerykańska wobec Moskwy, w miarę rozwoju wypadków, ogłaszania dokumentów dyplomatycznych i wspomnień zwolna obnażają motywy, jakimi kierował się Roosevelt, oraz otaczająca go grupa ludzi z Hopkinsem i Davisem na czele, przy podejmowaniu decyzji wobec Rosji. Zarówno inspirowane przez samego Prezydenta artykuły Forrest Davisa („Picture Post", maj, 1944), jak Elliotta Roosevelta („Reynolds News", grudzień, 1945), wspomnienia Morgentaua, czy też wspomnienia szefa ochrony osobistej delegacji amerykańskiej w Teheranie i Jałcie, Michael Reilly, oraz udokumentowana książka Bullita, nie pozwalają mieć żadnej wątpliwości co do głównej odpowiedzialności za skutki decyzji powziętych na obu konferencjach.

Jeden z głównych obserwatorów Jałty, James Byrnes, b. sekretarz stanu, który stenografował większość obrad na użytek Prezydenta, miał dotychczas usta zakneblowane swym urzędem. Ale i bez zeznań tego świadka koronnego znamy już zasadniczą prawdę. Od Teheranu Roosevelt wybrał dla Stanów rolę arbitra między Stalinem a Churchillem, przy czym w decydujących momentach przechylał się na stronę Stalina. Taka postawa była tylko logicznym ukoronowaniem taktyki stosowanej od lata r. 1941, tj. od ataku Hitlera na Rosję, przygotowanej misją Davisa do Moskwy i jego książką propagandową („Mission to Moscow").

Wkrótce po rozpoczęciu kampanii, w lipcu, 1941, do Moskwy wysłana zostaje delegacja z jednym z najbliższych zauszników Prezydenta na czele — Hopkinsem; celem jej jest omówienie sprawy pomocy Stanów Zjednoczonych dla Związku Sowieckiego. Wojska Hitlera prą naprzód; zdaję się, że można wymóc na Stalinie bardzo wiele. Roosevelt jednak każe nie żądać niczego. Daje wszystko darmo. W październiku, gdy wojska niemieckie są u bram Moskwy, wyjeżdża druga misja pod przewodnictwem Harrimana. Rosja jest w sytuacji krytycznej, los jej leży w znacznym stopniu w rękach Waszyngtonu. W. Brytania doradza, by w zamian za dostawy i kredyty, żądać zgody na stworzenie po wojnie federacji europejskiej, złożonej z szeregu związków regionalnych, oraz poszanowania niepodległości i całości zachodnich sąsiadów Rosji, w ich granicach z sierpnia 1939 r. Roosevelt nie słucha tych rad i daje pomoc bez żadnych absolutnych gwarancji politycznych. Dopiero po ustaleniu całej mechaniki pomocy i otrzymaniu poważnych dostaw, Stalin godzi się niechętnie, by, dnia 1. stycznia 1942 r., ambasador sowiecki w Londynie, Majski, złożył w imieniu Sowietów swój niechętny podpis pod angielską Kartą Atlantycką.

W tym szaleństwie była metoda. Roosevelt łudził się mianowicie, iż można pozyskać Moskwę dla pokojowej współpracy międzynarodowej; na znak dobrej wiary i zaufania, czynił on daleko idące ustępstwa, tak w Europie jak i w Azji. Sądził on, iż raz przezwyciężywszy nieufność sowiecką będzie można po zakończeniu wojny, współpracować z Rosją, która zniszczona a więc osłabiona, będzie przecież potrzebowała dalej wydatnej pomocy gospodarczej Zachodu, porzuci izolację i zechce się zbliżyć ze wspólnikami zwycięstwa.

Ameryka — sądził on — musi dążyć do porozumienia z Rosją jako drugą potencjalnie potęgą świata, z którą Stany nie posiadają wspólnej granicy lądowej, a więc i płaszczyzn bezpośredniego starcia. Na morzach też interesy obu krajów nie krzyżują się, bo Sowiety nie mają znaczniejszej floty. Natomiast oba mocarstwa mają jawne analogie społeczne, jak wielonarodowość, dynamizm i młodość kulturalną; cechy te upodabniają je do siebie, w każdym razie potencjalnie. Ale bez Rosji pokonanie Niemiec, a następnie i Japonii byłoby bardzo trudne, a przejście jej na stronę przeciwnika mogłoby stać się początkiem katastrofy; ponieważ nie groziło, jeżeli chodzi o Anglię, trzeba kupić Rosję za wszelką cenę. „Wojna ta — powtarzał często Prezydent swemu synowi — a zarazem adiutantowi — musi być okupiona niewielką ilością krwi amerykańskiej, musi być tania pod względem zużycia naszego materiału ludzkiego".

Bezpośrednimi strefami zainteresowania Ameryki są półkula zachodnia i Pacyfik, natomiast Europa ma znaczenie drugorzędne. Stąd interwencja Ameryki w sprawy europejskie nie powinna być zbyt daleko idąca; wystarczy, by półkula zachodnia nie była stamtąd bezpośrednio zagrożona. Pod względem ideologicznym, Roosevelt wierzył w możliwość doprowadzenia do zgodnego współżycia kapitalizmu i komunizmu; prawdopodobnie przypuszczał on, że pod wpływem ewolucji oba ustroje w końcu zbliżą się do siebie.

Liczył on zwłaszcza na przemiany wewnętrzne w ustroju sowieckim, pod wpływem wojny, w kierunku dania większej swobody ludności sowieckiej. „Jeżeli my — niebiescy, sczerwieniejemy — miał raz powiedzieć Roosevelt — a oni staną się trochę bardziej niebiescy, to pewnego pięknego poranku obie strony już niemal fioletowe przyjdą do przekonania, że mogą współżyć ze sobą i współpracować". Trzeba tylko stworzyć atmosferę zaufania, zatrzeć wspomnienia lat 1918 — 1939, interwencji, Monachium, wyrzucenia Sowietów z Ligi Narodów za Finlandię itp.

Każdy układ sił w Europie, który nie zagraża bezpośrednio bezpieczeństwu W. Brytanii był — zdaniem prosowieckiej koterii Białego Domu — do przyjęcia dla St. Zjednoczonych. Polityka Roosevelta, wbrew ostrzeżeniom Churchilla, nie ma zastrzeżeń co do rozszerzania się komunizmu w Europie pod warunkiem, że nie zostanie on narzucony siłą, lecz będzie wypływał z woli samej ludności.

Głównym punktem — zdaniem Harrimana, na który Ameryka kładzie nacisk, jest fakt, aby kraje europejskie bez względu na ustrój, jaki w nich panuje, pozostały otwarte dla handlu międzynarodowego, to znaczy w praktyce amerykańskiego. W prosowieckim otoczeniu Rosevelta określano to mianem „political isolazionism — economic interventionism".

Dlatego dla Waszyngtonu jest właściwie rzeczą obojętną, uważał Roosevelt, jaki będzie przebieg granic Polski, czy Czechosłowacji, i jaki będzie ustrój w tych krajach, pod warunkiem, że nie będą one stanowiły obszaru izolowanego od reszty świata. Istnienie w Europie Środkowo-Wschodniej sowieckiej strefy wpływów, miało być zdaniem ludzi typu Joe Davisa, dla Ameryki całkowicie do przyjęcia, o ile jednocześnie będzie istniała współpraca gospodarcza z Sowietami. „I nie zostaną zbyt jaskrawie pogwałcone zasady sprawiedliwości w stosunku do małych narodów" — dodawali obłudnie Hopkins i inni.

Toteż, gdy na początku konferencji teherańskiej — jak stwierdza Forrest Davis — Roosevelt na swoje zapytanie na ten temat otrzymał entuzjastyczne zapewnienia Stalina, iż żywi on pod adresem wszystkich małych narodów, a szczególnie Polski, jak najlepsze intencje, sumienie Prezydenta wydawało się być zupełnie uspokojone; odtąd konsekwentnie w dyskusjach nad sprawą polskiego sojusznika pozostawiał Stalina sam na sam z Churchillem; w decydujących momentach, w czasie dyskusji nad sprawą inwazji od południa i w kwestii Jugosławii oraz Polski dał Prezydent do poznania premierowi brytyjskiemu, że obawy jego co do ostatecznych zamiarów Rosji w Europie Wschodniej i Bałkanach są urojone, i że on solidaryzuje się ze stanowiskiem sowieckim. Po długiej i zaciętej walce, obfitującej w dramatyczne momenty, Churchill musiał ustąpić, bez rękojmi namacalnych. Obietnice rosyjskie były oczywiście pisane na wodzie. Ustępstwa amerykańskie były natychmiastowe i kompletne.

W Jałcie, stojący już nad grobem Roosevelt — według relacji jego syna Elliotta — łudził się, że Stalin zezwoli na stworzenie w Polsce rządu niezależnego, choć przyjaznego Kremlowi; w przystępie osłabienia woli zgodził się on jednak z góry na postanowienie sprowadzające się do przyrzeczenia uznania przez Amerykę rządu dobranego dowolnie przez Moskwę. A nuż Stalin zawrze oddzielny pokój z Hitlerem i pokuma się z Japonią...

Opatrzność była dlań łaskawa; zmarł zanim nieuniknione konsekwencje wydały owoce gorzkie a trujące. Stalin nie został zgłaskany. Europa Środkowo-Wschodnia dostała się niemal w całości pod panowanie sowieckie. Ustępstwa Teheranu i Jałty, tak w Europie jak i w Azji, przekształciły Związek Sowiecki w mocarstwo groźniejsze od III Rzeszy, bezpośrednio zagrażające dziś interesom amerykańskim na obu półkulach.

Z dwuletniej perspektywy można śmiało powiedzieć, iż polityka Roosevelta wobec Rosji leży w gruzach.

M. K. Dziewanowski

Co się dzieje w Królewcu?

Jak wiadomo, Sowiety wcieliły do swojego obszaru znaczną część Prus Wschodnich wraz z miastem Królewcem, będącym bardzo poważnym portem bałtyckim. Na konferencji poczdamskiej, która zakończyła się 2 sierpnia 1945, wcielenie zostało wyrażone w urzędowym komunikacie i w istocie uznane w następujących słowach:

„Konferencja przyjęła zasadę wniosku sowieckiego, dotyczącego przekazania ZSRR miasta Królewca i przynależnego okręgu. Prezydent Stanów Zjednoczonych i Premier Brytyjski oświadczyli, że poprą wniosek konferencji w chwili zawierania traktatu pokojowego".

Rosja nie zwlekała ani chwili z urzeczywistnieniem wcielenia. Już dnia 17 października 1945 r. rząd rosyjski osobnym rozporządzeniem utworzył z wcielonej części Prus Wschodnich osobny okręg wyborczy i dnia 10 lutego 1946 r. odbyły się, podobnie jak w całej Rosji, wybory do Najwyższej Rady ZSRR. W wyborach tych wybrano samych Rosjan. W czerwcu tegoż roku zmieniono nazwę Królewca na Kaliningrad oraz zrusyfikowano nazwy innych miast.

Według skąpych wiadomości, dochodzących z Królewca, w części Prus Wschodnich, wcielonej przez Rosję, nie ma już zupełnie Niemców. Liczy ona według niedawnego oświadczenia szefa sekcji politycznej administracji miejscowej około 500, tysięcy mieszkańców (przed wojną sam Królewiec liczył 375 tys. mieszkańców). Na ludność składają się przede wszystkim robotnicy i chłopi, którzy napłynęli z głębi Rosji i Białorusi. Działa już 50 sowchozów (gospodarstw państwowych) a organizuje się 251 kołchozów.

Dnia 9 lutego odbędą się wybory do rosyjskiej Sowieckiej Federacji Socjalistycznej Republiki. W tym celu kraj podzielony został na cztery obwody, z których dwa przypadają na Królewiec i dwa na prowincję. Kraj jest dzisiaj zupełnie zruszczony i posiada ustrój sowiecki, nie różniący się niczym od ustroju w Rosji.

Socjaliści angielscy... lordami

Było zawsze siłą ustroju angielskiego, iż angielska grupa rządząca wchłaniała skwapliwie wybitne jednostki. W ten sposób nie tylko sama się odświeżała i zapewniała ciągłość własnego istnienia, ale jednocześnie zapobiegała wszelkim gwałtownym wstrząsom.

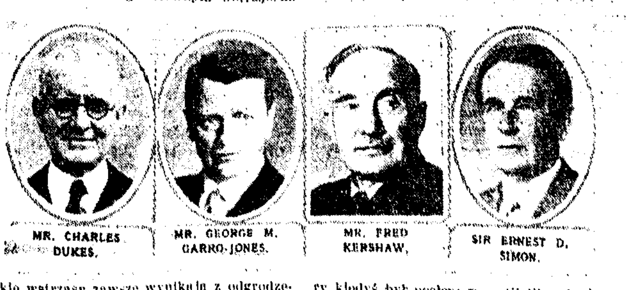

MR. CHARLES DUKES. — MR. GEORGE M. GARRO-JONES. — MR. FRED KERSHAW. — SIR ERNEST D. SIMON.

Takie wstrząsy zawsze wynikają z odgrodzenia się wzajemnego warstw społecznych, a przede wszystkim z zamykania drogi dołów ku górze. Jednostki zdolne, a niedopuszczone do wybicia się, gromadzą wtedy około siebie siły, które rozsadzają przeszkody. A to w polityce oznacza rewolucję.

Inaczej mają się rzeczy, gdy wybitne siły i jednostki pracę od dołu dochodzą do szczytów bez napotykania oporu. W ten sposób mogą one zostać zużyte w rządzie z pożytkiem dla państwa, zamiast ścierać się w gwałtownych walkach wewnętrznych o możliwość wybicia się.

Uwagi te nasuwają się, gdy czytamy o tegorocznym nadaniu szlachectwa przez króla angielskiego zasłużonym osobistościom świata politycznego. Czterech wybitnych członków Labour Party, będącej angielskim odpowiednikiem partii socjalistycznej, zostało lordami otrzymując tytuł baronetów. Są to Charles Duke, w roku 1945 prezydent kongresu związków zawodowych, G. M. Garro Jones, były poseł do Izby Gmin i podczas wojny sekretarz parlamentarny ministerstwa produkcji rolniczej, Fred Kershaw, członek Labour Party od lat 40 i Ernest Simon, który kiedyś był posłem z partii liberalnej.

A więc socjaliści i przedstawiciele świata robotniczego lordami! Dowód to, że korona angielska nie wiąże się ani z poszczególną warstwą społeczną, a tym mniej z poszczególnymi zapatrywaniami politycznymi. Rozumie ona, że potęga narodu polega na ciągłym rozwoju i ciągłym odradzaniu się i dopływie nowych sił w grupie rządzącej. Z drugiej zaś strony przyjmowanie przez przedstawicieli warstw robotniczych tego rodzaju honorowych odznaczeń z rąk królewskich dowodzi, iż warstwy te w instytucji monarchii nie widzą symbolu pewnej uprzywilejowanej klasy, jak to bywało w niektórych dawniejszych ustrojach monarchistycznych na Kontynencie, ale całego narodu bez różnicy stanu i pochodzenia. Wynika z tego siła ustroju, który zdaje egzamin i który umożliwia Anglii przetrwanie najbardziej ciężkich prób i wysiłków.

Żydzi o Sowietach

Czasopismo palestyńskie **„Chawra"** zamieściło artykuł I. Margolina, działacza rewizjonistycznego w Polsce, który przybył niedawno do Palestyny po 7-letnim „pobycie" w Rosji. Pisze on:

„Przez pierwszy rok znajdowałem się w okupowanej części Polski. Widziałem, jak urządza się „plebiscyty" i jak doprowadza się ludność do entuzjazmu i radzieckiego patriotyzmu. Potem byłem w Rosji na przymusowych robotach, w t.zw. „obozach pracy dla poprawy więzionych". Tam zrozumiałem, w czym tkwi tajemnica spoistości i siły sowieckiego ustroju. Ostatni rok spędziłem jako legalny obywatel w małym mieście ałtajskim. Uważam, że mam pełne prawo mówienia o Rosji.

Tołstoj twierdził, że „człowiek, który nie siedział w więzieniu, nie wie, czym jest państwo". Jest to w pełni uzasadnione odnośnie Rosji. Człowiek, który nie siedział w więzieniu sowieckim, nie wie i nie może wiedzieć, czym jest Związek Radziecki... W obozach pracy giną miliony ludzi.

Rosja dzieli się na dwie części: „wolną", którą obce oko może oglądać na tyle, na ile pozwolą władze — i Rosję za drutami kolczastymi, Rosję tysięcy obozów. Więźniowie są tu pozbawieni obywatelstwa, wyłączeni ze społeczności sowieckiej, są „niewolnikami państwa" w pełnym tego słowa znaczeniu. Po ukończeniu takiej „służby", trwającej zwykle do 10 lat, zostaje się „wysiedlonym-osiedleńcem", bez prawa powrotu do domu. Tymi milionami niewolników kolonizuje się odległe rejony północnej Rosji. Przypuszczam, że w pewnych okresach znajdowało się w obozach do 15 milionów więźniów. Obecnie posyła się tam nowe masy ludzi. Nie wolno o nich pisać, ani mówić głośno. Literatura sowiecka milczy o nich. Dziennikarzom zagranicznym udało się dotrzeć do obozów koncentracyjnych Hitlera, ale nikt nie dostał się do obozu sowieckiego. Strach i tajemniczość, jakimi obozy te są okryte, w wyobraźni mieszkańców Rosji, są nie do opisania. Ktoś znikł i nie wolno się nim więcej interesować. Jeśli napisze do ciebie list, daremnie szukać będziesz jakichś szczegółów o życiu. Będzie tam zapewnienie, że jest zdrów i cały i prośba o paczkę. Ludzie ci są skreśleni z księgi żywych. Żony rozwodzą się z nimi, a dzieci, jeśli są z komsomołu, nie napiszą do nich nigdy...

Jest niecnym kłamstwem, że ci ludzie zgrzeszyli przeciw ustrojowi sowieckiemu. Jakimi przestępcami było 500.000 obywateli polskich, wśród nich wielu Żydów, których zesłano do obozów w r. 1940? Najbardziej okrutnym i wstrząsającym zjawiskiem naszych czasów jest ustrój, krajający bez ustanku żywe kawały mięsa z ciała najnieszczęśliwszego narodu na świecie, ustrój „przesiewający" ustawicznie rzeszotem NKWD swą ludność bez sądu, bez prawa, bez litości.

...W obozach i więzieniach sowieckich wymarło całe pokolenie sjonistów. W Rosji pewnej nocy znikł Kulbak, poeta, będący chlubą literatury żydowskiej. Nie był nawet sjonistą, lecz przyjacielem Rosji sowieckiej. Przybył do Rosji, by „żyć i pracować w ojczyźnie robotników". Wyobrażał sobie Rosję tak, jak inni naiwni głupcy. Popełnił jednak wielką nieostrożność: zamiast siedzieć w Paryżu, osiadł w Moskwie. Obecnie nazwisko jego jest na indeksie, utwory zniszczono, po nim samym nie ma śladu"...

Amerykanie o Niemcach

Z wielu stron podnoszą się głosy o uprzywilejowanym traktowaniu Niemców w okupowanej przez zachodnich aliantów ojczyźnie Hitlera, i to zwłaszcza w stosunku do przebywających w obozach w Niemczech wysiedleńców. Toteż nic dziwnego, że w wielu miejscach Niemcy, po klęsce z początku zastraszeni i pokorni, podnoszą już głowę i odzyskują dawną butę, pozwalając sobie w stosunku do tych, których kiedyś powywozili z ich krajów ojczystych, i którzy dzisiaj nie mogą do nich wrócić, na bezczelne zachowanie się. Ośmiela ich niestety niejednokrotnie również dziwny stosunek niektórych władz okupacyjnych do tych nieszczęśliwych. Nie wiedzieliśmy jednak, że nawet w stosunku do samych okupantów sprawy te wyglądają conajmniej oryginalnie.

Oto amerykańskie wojskowe pismo dla żołnierzy **„Stars and Stripes"** przynosi list 30 żołnierzy amerykańskich następującej treści:

„Około 800 cywilnych pracuje u nas na różnych posadach, począwszy od robót w kuchni do hali maszyn. Nie dzieje się u nas nic, o czym by Niemcy nie wiedzieli. Pracują w biurze i mają wgląd do naszych dokumentów, sprawozdań i statystyk. Noszą mundury amerykańskie, a kilku mieszka nawet w pokojach w obrębie naszej stacji. Większość jada u nas obiady. Wszyscy otrzymują te same posiłki, co Amerykanie. Pokonani przez nas Niemcy gotują nam jedzenie, podają je, wydają nam piwo, lody itd. Mają prawo powiedzieć do żołnierza amerykańskiego: „Nie więcej dla pana nie ma". Jeżdżą naszymi samochodami nocą, czego nam zwycięzcom nie wolno. Mogą się z nami przyjaźnić. Mogą nas ignorować, mogą się z nas śmiać. Jedzą nasze cukierki, palą nasze papierosy, noszą nasze ubrania. To są ci Niemcy, których pokonaliśmy w sześciu przeklętych latach wojny. W naszej stacji 50% Niemców było nazistami, kierownik biura urzędników cywilnych był niemieckim majorem. Ściąga swych przyjaciół i zdobywa dla nich pracę, obrzydzając życie wysiedleńcom. Wysiedleńcy muszą słuchać rozkazów niemieckich, muszą się przypatrywać, jak ich koledzy jeden po drugim tracą pracę, by robić miejsce dla Niemców, i to wszystko za zgodą Amerykanów. Redaktorze! To niczym dobrym nie pachnie. Obrzydło nam to."

List ten nie wymaga dalszych komentarzy.

Literatura zaciśniętych zębów

Konstanty Kietlicz-Rayski

Beznamiętny stosunek do zjawisk, humanistyczna postawa pisarska, pewien obiektywizm poznawczy i ostrożność w wydawaniu sądów — oto podstawowe cechy literatury angielskiej. Anglik unika niepotrzebnych komplikacji, a to co jest już z konieczności skomplikowane stara się rozwikłać w sposób najprostszy i najskuteczniejszy. Dopomaga mu w tym procesie spokój, umiarkowanie i równowaga. Dlatego też literatura angielska odbiega od wzorów francuskich czy rosyjskich. Wszelkie nowatorstwo jest raczej chwilową i krótkotrwałą reakcją, wyrwaniem się z konwencjonalizmu formy czy tematu. Joyce odniósł sukces przede wszystkim zagranicą. Anglia przyjęła jego „Ulissesa" z rezerwą, właściwą sprawom niezrozumiałym.

Prostota stylu nie odnosi się jedynie do formy lecz także do treści wyrażanych przeżyć. Pamiętam jedną przedwojenną rozmowę ze znanym krytykiem francuskim, który z ironicznym uśmiechem tak scharakteryzował prozę angielską: „...zielona, soczysta murawa. Srebrny serwis. Doskonała herbata. Dużo zabawnych ciotek pod parasolami, no i koniecznie, koniecznie stary sługa..." Oczywiście, że nie mówił tego poważnie i z przekonaniem, a mimo to rekwizyty powieściowe, wymienione przez niego, są bardzo charakterystyczne i powiedziałbym, właściwe aurze spokojnej powieści angielskiej. Spokojnego przyjmowania zjawisk nie przerwała wojna, która stała się sprawą bolesną, uciążliwą lecz nie zdołała wpłynąć na zasadnicze tendencje pisarzy.

Ograniczenia techniczne, a więc brak papieru i brak pracowników drukarskich, zasadniczo nie wywołały podczas wojny zamieszania na rynku wydawniczym. Wspólnym wysiłkiem pisarzy i wydawców starano się przewyciężać kłopoty. Przedwojenna książka angielska była wzorem staranności. W czasie wojny ciche porozumienie pisarzy i wydawców sprawiło, że książka mimo rzy i wydawców sprawiło, że książka mimo zredukowanego formatu — nie przestała być estetyczna. Wydawcy zmniejszyli marginesy, pisarze ograniczali się do pisania niewielkich powieści i nowel. Powieści wielotomowe, powieści - rzeki w rodzaju „Przeminęło z wiatrem" stały się anachronizmem. Pisarze starszego pokolenia zamilkli. Natomiast zrobiono wysiłek godny naśladownictwa, by wyłowić młode i dobrze zapowiadające się talenty. Domy wydawnicze wpadły na pomysł wypuszczania na rynek tomów zespołowych, w których występowali nieznani dotąd autorzy.

Były to przeważnie zbiory nowel. Klasycznymi dla tego okresu będą zbiory p.t. „A map of the Hearts" (Mapa serc) czy też „Bugle blast", pisane przez członków armii. Okres ten sprzyja wyraźnie rozwojowi noweli, które mnożą się nie tylko jako wyraz lojalnej oszczędności papieru, nie tylko jako reakcja przeciw długometrażowym powieściom, lecz przede wszystkim jako konieczność czasów wysokiego napięcia o krótkim literackim oddechu.

Nowela stanowi również bunt przeciwko przedwojennym formom literackim. Znika z warsztatów pisarskich powieść historyczna, tak lubiana na wyspie. Jedynie Margaret Irwin drukuje jeszcze dzieje królowej Elżbiety. Eksperymentalna twórczość międzywojnia zostaje zaniechana. Dorywcza atmosfera wojny nie sprzyja rozwojowi nowych technik pisarskich, tym bardziej, że ubyło wielkich mistrzów nowatorstwa, a mianowicie: James Joyce'a i Wirginii Woolf. Oni to stworzyli technikę monologów wewnętrznych, odmiennych od chwytów francuskich Prousta.

Ostatnia powieść J. Joyce'a p.t. „Finegan's wake" okazała się zbyt trudna dla najbardziej upartych zwolenników tego rodzaju powieści.

Jedynie chyba Henry Green w swojej książce „Caught" (Pców) zaczerpnął z metody Joyce'a sztukę mieszania stylu „mówionego" ze stylem „myślanym". Inne opowiadania powracają do tradycyjnych przykładów angielskich.

Zmienia się również tematyka. Nastąpiła znowu reakcja przeciwko naturalizmowi literackiemu z wojny poprzedniej i okresu międzywojnia. Unika się opisów drastycznych okrucieństw, potwornych i szarpiących nerwy scen wojennych. Pozostaje natomiast precyzyjny i chłodny opis, nie ocierający się jednak ani o patos ani o stylizację psychologiczną, jaką spotykamy w innych literaturach wojennych. Oszczędza się ekspresji do ostatecznych granic, tak jak oszczędza się papieru. Nadaje się dramatyczny charakter zespołowi faktów, które mówią same za siebie.

B. Henriques swoją książką „Captain Smith and co." daje ujście ogólnej tendencji antyrealizmu tematycznego i formalnego nowej wojny.

Innym ciekawym zjawiskiem literackim jest odwoływanie się nie do zmysłowego, lecz do intelektualnego poznania rzeczywistości. Uważa się na ogół, że przeciążanie opisów narastającym tragizmem nuży i zniechęca czytelnika, toteż dąży się do chłodnego, intelektualnego wyrazu faktów. Wojna nie jest jednak tematyką ulubioną przez Anglików. Pisarze angielscy sięgają do tak popularnych na wyspie zjawisk fantastycznych. Ten genre nie tylko że nie znika, lecz przeciwnie — rozwija się stale. Tematyka „zaświatowa", która stawiała czoła w epokach klasycyzmu osiemnastowiecznego i industrializacji zapoczątkowanej w zeszłym stuleciu, podbudowana jest teraz strachem realnym, trwogą przed nieprzewidzianym niebezpieczeństwem i obsesją nagłej śmierci. W tego rodzaju opowiadaniach celuje Osbert Sitwell, który najstraszniejsze sprawy umie pozbawić siły... humorem. Smak tamtego, innego świata zaciążył nawet na jednym z ostatnich tomów Somerset Maugham'a. („The razor edge" — Na ostrzu brzytwy), w którym obok się wrażenie, iż niemały wpływ na tego znanego nowelistę wywarły doktryny hinduskich mistyków. Ten nagły przypływ czy obsesja duchów i nadzwyczajności jest bardzo charakterystyczny. Być może, że jest to forma ucieczki od rzeczywistości, od spraw dotkliwie odczuwanych, od wzrastającej rezygnacji.

Opierzony i pozbawiony kolorów heroizm tamtej wojny sprzątnął się w codzienność i poszarzał. Wielkie słowa stały się niewłaściwe i niepotrzebne, w chwili kiedy zaczęła się już rodzić tęsknota za dawnym, spokojnym trybem życia. Trzeba przyjmować narzucone rzeczywistością problemy, spotykać je odważnie i rozważnie w pół drogi. Nie ma to jednak posmaku jakiegoś zwiększonego fatalizmu, lecz przeciwnie świadczy o dojrzałym stosunku do świata. Rezygnacja może przybrać formę czynną lub stać się wyrazem wewnętrznego ładu. Te właśnie zagadnienia porusza w doskonałej powieści Richard Hillary („The last enemy" — Ostatni nieprzyjaciel). W innej skali tę samą postawę zajmuje Hugo Palmer („Home Front" — Front wewnętrzny) czy Noel Blakiston, odważnie patrząc na problemy czasów pogardy i szaleństwa. Jest to literatura zaciśniętych zębów a nie zaciśniętych pięści. Nienawiść jest wyklęta w literaturze tej wojny, wyjęta niejako spod prawa.

Natomiast humor jest odskocznią dla zszarpanych nerwów i pożywką równowagi duchowej. W jednej z nowel („The glaw worm" — Płomienny żar) opowiada O. Sitwell o dziennikarzu, który na skutek ciągłego pisania „budujących" artykułów spostrzega pewnego dnia nad własną głową aureolę. Oczywiście jest przedmiotem zamieszania i drwin w czasie obowiązującego zaciemniania.

Humor E.M. Fostera, duchowego ucznia Meredithа, działa jako antidotum na łatwy sentymentalizm czy wybujały realizm. Foster bez trudu przebija bańki nieprzemyślanych entuzjazmów czy bezpodstawnych ekstaz („Passage to India").

Okres wojny, jak powiedziałem wyżej, zrodził nową literaturę. Wojna dostarczyła literaturze twórczych surowców, odmiennych od tematyk dawnych, a także innego sposobu pojmowania zjawisk.

Tak jak duchy są ulubionym tematem i źródłem niewyczerpanym dla pisarskiej inwencji — morze wysuwa się na plan pierwszy zainteresowań czytelników i pisarzy. C.S. Forester, znany już przed wojną marynista, wystąpił z kapitalnym opowiadaniem o krążowniku „Artemis", który przebił się przez blokującą wody marynarkę włoską, by zaopatrzyć zagrożoną Maltę. Każdy rozdział opowieści zaczyna się od słów raportu książki pokładowej, przechodzących po chwili we własny styl autora. Bohaterem jest raczej krążownik niż załoga. Opowiadanie Forestera przypomina powieść o odyssei rosyjskiej marynarki w czasie wojny japońskiej, napisanej przez niemieckiego powieściopisarza, którego nawiska niestety nie pamiętam. Równowaga obu książek polega na wewnętrznym i tajemniczym rytmie a nie na wielkich, hałaśliwych efektach. Książka Anglika jest budująca i pouczająca lecz odbiega od podobnych pod względem treści, propagandowych i seryjnych opowiadań sowieckich.

Nowym tematem i dotąd właściwie jeszcze nie wykorzystanym staje się wojna powietrzna. Dlatego też zapewne pierwsi pisarze, opisujący działania powietrzne, operują raczej techniką reportażową. Dopiero chyba H.E. Bates („Fair stood the wind for France" — Wiatr wieje ku Francji) czy A. Gwynn - Browne („Gone for a Burton" — Start z Burton) wyprowadzają opowiadania z płycizn reporterskich. Obie te książki poświęcone są losom załóg samolotów strąconych nad Francją. Tak jak przejmujący wiatr jest nieomal decydującym elementem w „Zazdrości i Medycynie" M. Choromańskiego, tak w powieści H.E. Batesa tę samą rolę odgrywa tajemnicze światło księżyca. Ważniejszym czynnikiem dla pisarza jest nastrój niesamowitego krajobrazu i nieba francuskiego niż przeżycia i portrety załogi. Natomiast Gwynn - Browne kładzie nacisk właśnie na psychologiczną stronę człowieka. Ani jedna ani druga książka nie potrafiły jednak oddać w sposób tak prosty i zrozumiały duszy lotnika, jak książka ich francuskiego kolegi „La vallée heureuse" (Dolina szczęśliwości) — Jules Roya.

Jeśli wojna na morzu i w powietrzu wydała kilka dobrych nowel i opowiadań, to wojna naziemna, obracająca się w bardziej skomplikowanych i zróżniczkowanych warunkach, poza kilkoma krótkimi opowiadaniami, jak n.p. anonimowa „Arnhem lift" (Lot do Arnhem), nie doczekała się dotąd powieści. W każdym razie wszystkie opisy walk dalekie są od nudnego już dziś stylu Hemingweya, od techniki fotograficznej czy wstrząsającego realizmu. Poważną pozycję tematów stanowią opisy historycznego blitz'u nad Londynem, w którym brak jest jak i w innych wojennych powieściach czy nowelach, chęci wywołania potworności.

Przeciwnie, w każdej książce jest wyraźna chęć ucieczki od rzeczywistości, chęć przeniesienia zgrozy w płaszczyznę irrealną (W. Sansom — „Fireman Flower" — Strażak Flower), czy sprowadzenie do zwykłych i przeżywanych na codzień formatów psychologicznych. (Anna Kavan — „I am Lazarus" — Jestem Łazarzem). Wyjątkiem znowu będzie E.W. Robertson, który w „They can take it" (Trzeba przetrwać) z niezwykłą dokładnością opisuje raidy na Londyn, pożary szpitalów, masakrę dzieci itd. Jednak i u niego przeważa skłonność do intelektualizowania wrażeń.

Jest jednak temat, który został literacko „sfotografowany" na modłę rosyjską. To udział kobiet w rozwoju przemysłu wojennego. Odnoszę wrażenie, że było to do pewnego stopnia koniecznością chwili. Przestawienie psychiczne społeczeństwa na tryb wojenny, oderwanie od home'u, zmusiły do pisania tą techniką, w której nie ma zupełnie miejsca — co jest typowe dla Anglików — dla rozwiązywania problemów społecznych.

Dwie najlepsze książki tego rodzaju napisały kobiety. Widocznie wejście kobiet do fabryk przemysłu wojennego mocno je dotknęło, wywołując twórczą reakcję. Inez Holden napisała „No story there" (Nie robimy z tego historii) a Monika Felton — „To all the living" (Na całe życie). Obie książki wykrojone są w żywym ciele faktów. Czuje się w nich precyzję reportażu uwikłanego w nikłą intrygę typu powieściowego.

Poprzez wszystkie tematy i książki przedziera się dyskretna, „lojalna" skarga na skomplikowane życie wojenne. Nie chodzi tu o jakieś wielkie problemy, ot, po prostu o związanie końca z końcem, o codzienną walkę z drobnymi trudnościami. Poza tym wszyscy pisarze starannie i uparcie poszukują człowieka wtopionego w chaos złych i niepotrzebnych spraw. Robią to oczywiście beznamiętnie, z flegmą i... humorem.

Literatura angielska lat ostatnich nie jest przepojona materializmem, ani beznadziejnością, ani nawet umiarkowanym pesymizmem. Czuje się w niej żywą lecz spokojną siłę, wolę by walczyć, by odnaleźć spokój wewnątrz siebie i pokój na zewnątrz. Wszyscy wymienieni pisarze są młodzi, niezużyci psychicznie, nie zblazowani, bez cienia cynizmu czy zniechęcenia. Twórczość leży przed nimi jako bogate, nie wykorzystane jeszcze w pełni możliwości.

Wielu spomiędzy nich padło na rozmaitych frontach: A. Lewis, S. Keyes, R. Hillary, R. Spender i in. Są nie do zastąpienia.

Wojna obecna, mimo niższy bilans strat angielskich w porównaniu z pierwszą wojną światową, pochłonęła większy procent pisarzy i artystów. Literatura angielska wyrównuje straty intelektualne zdobyczami w dziedzinie koncepcji artystycznych i form twórczych, przesiąkniętych istotnymi, solidnymi wartościami duchowymi.

Z TEKI RYSOWNIKÓW

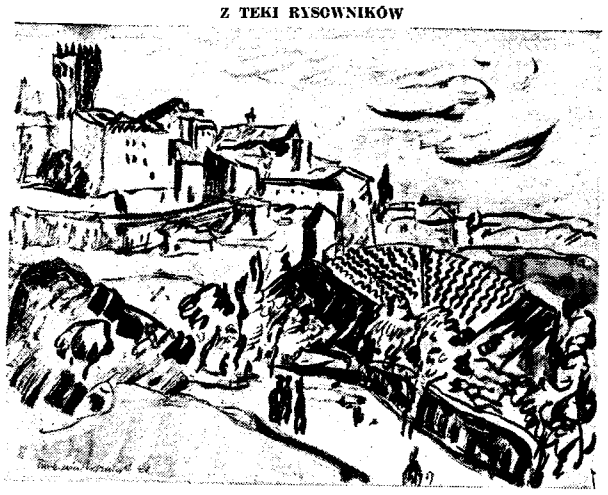

ZYGMUNT TURKIEWICZ — Pejzaż włoski

PODZIĘKOWANIE

„Nie mogąc podziękować wszystkim osobiście za przesłane mi życzenia Świąteczne i Noworoczne, chciałbym za pośrednictwem pańskiego pisma wyrazić moją wdzięczność wszystkim przyjaciołom, organizacjom i kolegom za ich tak bardzo cenną dla mnie pamięć.

Wł. Anders
Gen. Dyw.

ŻYCIE KULTURALNE W KRAJU

OSTATECZNE MILCZENIE

W roku 1925 ukazał się pierwszy zbiorek wierszy Władysława Broniewskiego pt. „Wiatraki". W recenzji tej książki w „Wiadomościach Literackich" Witold Wandurski pisał, że Broniewski „jest jednym z nielicznych dziś jeszcze poetów, których twórczość czerpie soki nie z przelotnego wrażenia, lecz z samego miąższu życia. Czyn twardy — siedem lat w rowie strzeleckim — poprzedza narodziny pierwszego tomu jego wierszy. Wojna wydała poetę Broniewskiego. Wojna nadała sprężystości jego metryce odrębnej i stali jego twardym i dźwięcznym asonansom".

W roku 1943 wyszedł w Jerozolimie zbiór wierszy Broniewskiego pt. „Bagnet na broń". Te wiersze także wydała wojna, o ileż straszniejsza od poprzedniej, te wiersze także pisał poeta-żołnierz, który do pewnego etapu drogi był towarzyszem żołnierza nieugiętego dotąd, co bagnet z broni zdejmuje tylko pod naporem najcięższych okoliczności. Po powrocie do Kraju poeta uhonorowany został aż dwiema nagrodami. Ale krytyka, która rozpisuje się właśnie o wydanym ponownie „Krzyku ostatecznym" Broniewskiego (pierwsze wydanie w r. 1939), która pamięta i „Trzy salwy" i „Dymy nad miastem", dotychczas jakoś nie zdołała dostrzec ostatniego tomu poety.

Na kryminał zaraz za bramą
zasłużymy sobie od nowa

— pisał rewolucyjny poeta w wierszu-wspomnieniu z sowieckiego więzienia. „Krzyk ostateczny" jest ostatnim „dozwolonym" wygłosem poety. Późniejsza jego twórczość została przypieczętowana ostatecznym milczeniem krytyki. Oto jeszcze jeden przykład, że w werbunku ludzi pióra do Kraju chodzi nie o zasilenie przerzedzonych przez wojnę szeregów pisarzy i artystów, nie o wzmożenie polskiej aktywności kulturalnej, ale głównie i wyłącznie: o uszczuplenie sił emigracji.

DYSKUSJA ZASADNICZA

W prasie krajowej toczy się dyskusja na temat „romantyzmu i irracjonalizmu" polskiego, czego symbolami mają być powstanie warszawskie i Monte Cassino. W dyskusji padają hasła: „mniej romantyków, więcej techników". O Monte Cassino powiada „Odrodzenie", że ideą dowództwa było „walczyć nie na złość Berlinowi, lecz na złość Moskwie". Jeden ze studentów twierdzi, że wszelki osąd powstania warszawskiego jest przedwczesny, gdyż opierałby się na „zbyt rażącego jednostronnym określaniu faktów" — co wywołuje następującą replikę: „może mamy czekać na rewelację Bora?" — „Samosierra — pisze „Dziennik Polski" — jest chlubą żołnierza, ale jaskrawym przykładem błędnej polityki. Warszawa była wzorem męstwa, ale zbrodnią przywódców".

W tej zasadniczej dyskusji padł ostatnio argument z kalibru najcięższych. Po „Murach Jeryha" Brezy, powieści, która usiłuje zohydzić życie w „sanacyjnej Polsce" — „Czytelnik" rzucił na rynek księgarski elaborat pt. „Powstanie mokotowskie" (Warszawa, 1946); autorem jego jest Jerzy Pytlakowski. O „dziele" tym pisze jeden z krytyków, uczestnik powstania na Mokotowie: „Wyciąganie dramatycznych momentów, najciemniejszych faktów, w jakim lubuje się autor, przy jednoczesnym pomijaniu spraw będących nieprzemijającą wartością tych dni krwi i chwały, powoduje tendencyjne naświetlenie całości. Na atmosferę powstania mokotowskiego składa się w „reportażu" Pytlakowskiego strach, tchórzostwo, oszustwo, podłość, głupota i groza".

W pogoni za propagandowymi sloganami autor przechodzi niejednokrotnie słynne niemieckie „szczekaczki". Dowiedzieć się możemy np. od Pytlakowskiego, że „zdarzały się bezpośrednio przed samą kapitulacją mordy kapturowe popełniane na Żydach, czasem nawet biorących czynny udział w powstaniu, przez enesżetowców oraz przez prawy odłam akowców". Oto mamy w jednym zdaniu cały obowiązujący dziś słownik. Tak oto ciężkimi łapami Kuby - Rozpruwacza preparuje się dzisiaj historię...

Wszystkowiedzący autor sam zdradza swą liście naukową metodę. Dowiadujemy się, np., że pewien pułkownik (zezowaty!) czynił próby porozumienia się z wojskami węgierskimi stacjonującymi pod Warszawą, celem przeciągnięcia ich na stronę powstańców. „Decydującą rozmową między mokotowskim szefem propagandy i węgierskim generałem odbyła się w cztery oczy". Następnie autor streszcza ją jak najdokładniej. Oczywiście, narzuca się nieparte wprost pytanie: czy Pytlakowski jest zezowatym pułkownikiem czy generałem węgierskim?

Wiemy, że ani jednym ani drugim. Po prostu: kiepskim najemnikiem, który służy jak może za judaszowe czerwońce.

GDY BĘDZIEMY ROZMAWIALI ZA ROK ..

„U nas wszystko robi się szybko" — powiedział w wywiadzie prasowym dyrektor Polskiego Radia Wilhelm Billig. Więc rok 1948 będzie „punktem ciężkości" w budowie wielkiej rozgłośni w Warszawie, w r. 1949 nastąpi częściowe jej uruchomienie, w r. 1950 Polska będzie miała 2 miliony radiosłuchaczy, w r. 1951... A jak jest w roku bieżącym? — to chyba także interesujące.

Otóż w roku bież. mamy, owszem, uruchomionych 12 rozgłośni. Ale —jak pisze „Rzeczpospolita" — „Warszawa chce słuchać radia, niestety nie ma jak". Niemcy jak wiemy, wywieźli z kraju niemal wszystkie aparaty odbiorcze. Podbitemu narodowi wystarczyło słuchać codziennego orędzia p. Franka za pośrednictwem głośników zainstalowanych na placu przed magistratem. Wobec braku odbiorników radiowych te publiczne głośniki nie tylko utrzymano, ale nawet zwiększono ich liczbę. Warszawa słucha także za pomocą aparatów, które się włącza do sieci telefonicznej. W tym celu trzeba było zbudować w Warszawie 3 tzw. radiowęzły, czyli punkty odbioru.

W dziedzinie radiofonizacji kraju spotykamy się z tym samym zjawiskiem. Jakie obserwujemy i na innych polach. „Plan" przewiduje — zawsze kiedyś, w przyszłości — istny raj w Polsce. Miraże szczęśliwej przyszłości służą tylko jednemu: zatuszowaniu nędzy i dezorganizacji życia — dziś.

WYPRÓBOWANY SPOSÓB WALKI

Wobec ciężkiego położenia szkół, których budżety są zupełnie nie wystarczające do normalnego funkcjonowania, samo społeczeństwo zorganizowało akcję pomocy dla szkół. Akcja ta przybiera m. in. formę „patronatów". Tak np. nad szkołą powszechną w Zabrzu na Śląsku patronat objął miejscowy związek restauratorów. Natomiast stosunek czynników administracyjnych do szkół pozostawia wiele do życzenia. Szkoła powszechna w Katowicach jest od przeszło roku w stanie wojny z Wojewódzkim Urzędem Ziemskim, który zajął jej gmach na swoje potrzeby. We własnym budynku, który przed wojną należał do okazalszych w Polsce, katowicka szkoła gnieździ się kątem. „Dawno już, co prawda, wyszło zarządzenie, że wszystkie budynki szkolne, zajmowane przez instytucje czy urzędy, należy szkołom zwrócić. Równie dawno katowicki Urząd Wojewódzki nakazał Urzędowi Ziemskiemu oddanie do dyspozycji szkoły pewnej ilości izb.

„Niestety — jak czytamy w zbiorowym liście rodziców — Urząd Ziemski tylko w pewnej części zastosował się do tego polecenia i oddał szkole jedynie 4 sale i 1 pokój. Natomiast resztę pokoi zabarykadował szafami i ma zamiar wznieść mur na I piętrze, odgradzający szkołę od urzędu."

A myśleliśmy, że ostatnie barykady wznosiła Warszawa w powstaniu sierpniowym — przeciwko Niemcom.

ODKRYCIE NIEZNANYCH FRESKÓW

Na Jasnej Górze przy odnawianiu kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiej, odkryto nieznane freski — prawdopodobnie Donabelli, oraz portrety Zygmunta III Wazy, Anny Jagiellonki i Szymona Szymonowicza, będące — według opinii prasy — prawdziwą „rewelacją artystyczną".

ZAUFANIE

Możecie stale z pełnym zaufaniem powierzyć wysyłkę paczek z lekarstwami dla swych najbliższych w Polsce Firmie Farmaceutycznej ASMIDAR Ltd. (Chemists) 16-18 Douglas Street, London, S. W. 1.
(równoległa do Vauxhall Bridge Road)
Żądajcie naszych cenników

MARIAN PANKOWSKI

* * *

Za modrej przerębli gór,
nad brzeg idącej w senność ziemi
buchnął — nie zachód,
jarzębinowy krakowiak w czerwieni!

I przez przejrzysty szczyt dzwonnicy
z kamienia, który zmierzchem zczerniał,
przewlekam niebo
do źrenicy.
Aż dzwon się ciszą ciężką zerwał,
niemotą dźwięku nas ogłuszył.

...a już tymczasem tam i sam
nad ponad Alpy gwiazdy prószy
i szum swój zacisza La Romanche...

Nim księżyc śniegi poprzebudza
i snopy zbóż na polach stromych,
zstępujemy, dłońmi przepasani,
ze wzgórz ku garstce świateł
w dole.

Góra

U stóp twych stoję, błyszcząca lodem —
zimna i stroma, drogę grodzisz —
górna, z kłębiastych, białych bioder
strumień przejrzysty rodzisz.

Czekan od skały dźwiękiem odskoczy
i krzyk mój martwy się obsunie
na głaz, pachnący w krąg odludnie...

a rym, nim w turkus się przetoczy —
w zielone ziarna jezior,
po cembrowanych górach dudni...

Utwory z tomu pt. „Wiersze alpejskie", który w najbliższym czasie ukaże się w druku.

„Polacy nie gęsi, też swój język mają"

Najlepiej exemplarycznie zademonstrować i zilustrować meritum kwestii, która egzystuje od jakiegoś czasu w literaturze, a specjalnie w żurnalistyce polskiej. Abstrahując od takiej demonstracji, eksponuję się na obiekcje i inwektywy, z czego mogłaby fatalistycznie rezultować ambarasująca obligacja ekskuzowania się z racji awansowania niebazowanej na faktycznej sytuacji insynuacji, jakoby polscy żurnaliści, a nawet i literaci i poeci aplikowali, reklamowali i propagowali w swoich artykułach i broszurach nieracjonalnie masę obcych wyrazów, transformując język polski tą metodą na epatujący normalnego człowieka konglomerat niezasymilowanych i dywergujących elementów, zamiast uplastycznić jego oryginalność i autentyczność przez puryfikację z momentów obcej ekspresji.

Czyżby de facto literaci w skryptach swoich mogli dysponować tylko wulgarnymi akcesoriami emocjonalnych refleksów tonalnych? Czyżby język polski nie adoptował się do subtelniejszych definicji intelektualnych? Czy prohibicja taka zastopowałaby ewentualność wszelkiej kwalifikacji kreacji stylistycznej? Czy determinowana takimi auspicjami produkcja literacka nie mogłaby już realizować i kontynuować imponujących dotychczas rezultatów polskiej produkcji literackiej? Czy utrudniałaby wszelką sensowność weryfikacyjną i analizę problemów? Czy trzeba by było dedukować z takiego faktu bezapelacyjnie i bez możności jakiejkolwiek defensywy pauperyzację stylu? Czy literaci musieliby spontanicznie i fatalistycznie zwekslować na banalne tory ordynarnej rodzimej rutyny, wysterylizowanej z wszelkiej abstrakcji stylistycznej? Czy likwidacja obcych akcesoriów zmonotonizowałaby aspekt języka, eskamotując z elaboratów, inserowanych w periodykach, radykalnie wszelką subtelną pointę?

Może profuzja słów obcych jest imperatywnym postulatem sfery hierarchicznie dystyngowanej, stanowiącej gros lektorów? A może na końcu zbyt rygorystycznej puryfikacji języka fatalnie grozi pauperyzacja stylu? Może kontrakcja, sukcesyjnie inaugurowana w gazetach i periodykach przez pewien typ intelektualnie prymitywnych autorów przeciwko infiracji i pululacji obcych wyrazów jest afrontem dla tendencji asymilacji, która charakteryzuje witalizm każdego języka, pretendującego do tezauryzacji precjozów lingwistycznych bez względu na ich genezę? Może jest to ingerencja i ofensywa kryminalna, zasługująca na reprobację absolutną i bezkompromisową, absolutnie nie będąca tylko symplistyczną dygresją i aberacją profana, którą można zbagatelizować? Może w sumie pozytywne aktywa tej infiltracji, lawirującej sekretnie z peryferii języka aż do jego centrów, są akurat takim plusem, że nawet ewentualne minusy nie deprecjonują waloru tej akcji, ewoluującej systematycznie, progresywnie, i konsekwentnie w aktualnej produkcji literackiej w kierunku ekspansji obcego słowa? Może stemplowanie negatywne i dyfamowanie tego procesu jest tylko ordynarnym atakiem na skskluzywność arystokratycznej dystynkcji, utrudniającym naturalną elewację stylu?

Reasumując tezy...

Nie, na miły Bóg, już nie możemy dalej! I to nie dlatego, żebyśmy nie mogli znaleźć jeszcze wielu podobnych wyrazów używanych nagminnie, ale po prostu wieczne pióro odmawia już posłuszeństwa. Wszystko bowiem ma swoje granice i możność przyswajania językowi obcego słownictwa również. Wiemy wszyscy, że każdy język wchłania w siebie pewne wyrazy obce, przetwarza je i włącza do swojego skarbca. Istnieje w języku polskim dość dużo słów które przyjęły się w rozmaitych okresach czasu i rozmaitymi drogami. Sprowadzano kiedyś przedmioty nowe, dla których nie było nazwy w języku polskim. Potrzeba nowego słowa zjawiała się także z chwilą wzrastania nowego zagadnienia, którego przedtem nie było w świadomości.

Piszący te słowa nie jest zgoła uczonym językoznawcą, i dlatego nie chce i nie może zapuszczać się w szczegółowe badania. Ale chociażby użyty powyżej wyraz „granica" pochodzi zapewne od niemieckiego „Grenze" i zapożyczony został od Niemców dlatego, że dopiero napaści niemieckie pojęcie to kiedyś w umyśle polskim stworzyły. Są i inne słowa niemieckie, przetrawione przez język polski. Są słowa, włoskie przywiezione jeszcze przez królową Bonę. Są słowa francuskie, łacińskie a nawet tureckie, z których obcego pochodzenia nikt już sobie dzisiaj sprawy nie zdaje. Jednak to, na co sobie dzisiaj pozwalają nie tylko dziennikarze, ale nawet niektórzy krytycy i — o zgrozo — poeci, naprawdę zaczyna być zwykłym przestępstwem.

Prawie wszystkie wyrazy obce, z których skleciliśmy powyżej, umyślnie w sposób przesadny, początek naszych uwag, wypisane zostały z niewielu artykułów (otóż znowu wyraz obcy, mający już prawo obywatelstwa), umieszczonych ostatnio w pismach ukazujących się na wychodźstwie. W jednym z takich artykułów naliczyliśmy ich dosłownie 22 w 37 wierszach, nie biorąc pod uwagę tych, które mimo niewątpliwie obcego pochodzenia uważamy już za przetrawione przez język polski.

Nie wahamy się stwierdzić, że niepotrzebne używanie słów obcych i nawet niektórych już utartych tam, gdzie istnieje doskonale czysto polskie słowo, jest niechlujstwem i dowodem nie bogactwa, ale ubóstwa językowego. Tego samego słowa obcego używa się często dla oznaczenia czynności lub właściwości, dla których w polskim języku istnieje kilka wyrazów, każdy o osobnym odcieniu. Słowo obce bogactwo tych odcieni zaciera.

Nie przytaczamy rozmyślnie ani pism, ani autorów, bo nie zamierzamy nikogo atakować. Zresztą i sami nie jesteśmy bez winy, chociaż przerażeni dostrzeżonym obrazem, staramy się zacząć poprawę od siebie. Podajemy jednak te nasze wywody pod uwagę wszystkich piszących bez względu na stanowisko, jakie zajmują w piśmiennictwie polskim, i zanosimy do nich pokorną prośbę (czy „petycję" brzmiałoby lepiej?), ażeby przestali zanieczyszczać i zniekształcać („deformować" jest słowem ładniejszym?) piękny język polski, którego przyrodzone (czy konieczne „naturalne"?) bogactwo wystarcza do wyrażania najbardziej różnorodnych uczuć i myśli.

Tam nawet, gdzie nasuwa się pozornie usprawiedliwiona konieczność wprowadzenia nowego słowa, należy się zastanowić, czy język polski nie pozwala na stworzenie własnego czysto polskiego wyrażenia zamiast wygodnie przyswajać (czy „asymilować" brzmi lepiej?) nazwy i wyrażenia obce. A może by, skoro mnożą się już wszędzie rozmaite związki jak grzyby po deszczu, założyć Związek Przyjaciół Języka Polskiego? Nie trzeba na to ani wynajmować osobnego mieszkania, obejdzie się też bez składek, zarządów, papierów, a wystarczy uczciwe postanowienie uważania na swoje pióro i — z początku tylko — pewien wysiłek, ażeby obcą łatwiznę zastąpić bogactwem języka ojczystego.

Skończmy wreszcie z tymi „prerogatywami", „premisami", „debatami", „denuncjacjami", „gazonami", „delektowaniem się", „desperacjami", „emancypacjami" i tymi podobnymi tysiącznymi „dekoktami", zbieranymi jak kurz i chwasty przy drodze, bo i tak zostaje ogromna, może nawet już nadmierna ilość wyrazów, które do tego stopnia zdołały się wgryźć w język potoczny, że trudno je będzie w pełni z niego usunąć (a nie „eliminować"). Otwierając pierwszy lepszy słownik, możemy stwierdzić (a nie „skonstatować") ze zdumieniem, że na każdej prawie stronie jako wyrazy polskie znajduje się już kilkanaście słów o brzmieniu nie polskim, a obok nich odpowiednik obcego słowa w właściwym brzmieniu, z którego wyrażenie „polskie" się wywiodło.

Język polski jest językiem czystym i rodzimym i nie znosi takich pożyczek, na jakie może sobie np. pozwolić bez zniekształcenia język angielski, skoro jeszcze ten jest właściwie stopem dwóch zupełnie odmiennych języków i każde prawie słowo jest pochodzenia albo niemieckiego, albo francuskiego. Przyswojenie sobie więc przez język angielski nowych słów czy to pochodzenia germańskiego czy romańskiego nie razi, bo z jednego z tych dwóch języków pochodzą prawie wszystkie.

Inaczej ma się rzecz z językiem polskim, który zaciągnął i tak już dość duże i bardzo często niepotrzebne pożyczki z obydwóch, aczkolwiek są to języki zupełnie inne, i dlatego pożyczki te muszą go zniekształcać i rzadko zostają zupełnie przetrawione. Dlatego dbanie o czystość języka jest obowiązkiem pisarzy polskich. Nie wolno im wprowadzać do niego bez najmniejszej zwykłe potrzeby pierwiastków (a nie „elementów") obcych, które go zmieniają — tak, tutaj właśnie użyjemy wyrażenia obcego — w „żargon".

A. TOMICKI

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO — Szkic do kompozycji „Ukrzyżowanie"

UCZUCIE

Karol Dickens

Starsze panny Crumpton, a właściwie — by nie uchybić dokładności, powołując się na określenie, jakie figurowało pod napisem „Dom Minerva", Hammersmith, — po prostu panny Crumpton, były to osoby niezwykle charakterystyczne, bardzo wysokie, przesadnie szczupłe i dobrze już pożółkłe. Panna Amelia Crumpton przyznawała się do lat 38-u, panna Maria Crumpton utrzymywała, że ma 40, co mogło budzić niejakie zdziwienie, gdyż wyglądała, skromnie licząc, co najmniej na 50. Ubierały się jak dwa bliźniaki, były zawsze ogromnie dokładne, posiadały surowe zapatrywania na temat dobrego prowadzenia się, nosiły peruki i nie żałowały mocnej wody lawendowej.

„Dom Minerva", prowadzony przez obie siostry, był to zakład wychowawczy dla panien, gdzie około 20-u dziewcząt dość różnego wieku — od lat 13-u do 19-tu włącznie, uczyło się wszystkiego po trochu, nie wynosząc dokładnej znajomości w zakresie żadnego przedmiotu objętego programem. Tak np. uczyły się francuskiego, włoskiego oraz tańca tudzież innych rzeczy, naprawdę niezbędnych dla młodej panny. Dom był biały, trochę zniszczony od strony ulicy; okna zawsze lekko przymknięte.

— Moja droga Amelio — powiedziała panna Maria Crumpton, wchodząc któregoś ranka do auli szkolnej. — Moja droga Amelio, masz tu list, który właśnie przed chwilą otrzymałam. Przeczytaj na głos.

Panna Amelia zaczęła czytać:

„Cornelius Brook Dingwall przesyła pozdrowienie pannie Crumpton i będzie się czuł ogromnie zobowiązany, jeśli panna Crumpton zechce wstąpić do niego w chwili dla niej dogodnej, najlepiej nazajutrz o godzinie 13-tej, celem odbycia konferencji z Corneliusem Brook Dingwallem w sprawie powierzenia pannom Crumpton córki jego, panny Brook Dingwall.

Adelphi, poniedziałek rano".

— Córka członka parlamentu! — wykrzyknęła panna Amelia.

— Córka członka parlamentu — powtórzyła panna Maria z uśmiechem, oznaczającym całkowite zadowolenie.

— To bardzo przyjemna wiadomość — dodała panna Amelia.

Rzecz tak niezwykle ważna musiała oczywiście spowodować niejakie zakłócenie normalnych czynności w zakładzie. Aby uczcić wielkie wydarzenie, ogłoszono, że cały dzień będzie wolny od zajęć szkolnych. Panny Crumpton udały się do swoich pokoi, by jak najdokładniej omówić sprawę, młodsze dziewczęta rozpoczęły natychmiast długie debaty na temat zachowania się i manier córki członka parlamentu, a panienki lat około 18-tu dopytywały, czy przyszła ich koleżanka jest już zaręczona, czy ładna i o wiele innych jeszcze rzeczy, których nie będziemy dociekać.

Nazajutrz o wyznaczonej godzinie udały się panny Crumpton do Adelphi, ubrane jak najstaranniej. Wręczyły lokajowi swoje bilety wizytowe, po czym zostały wprowadzone do pokoju, w którym ujrzały samego pana Dingwalla.

Cornelius Brook Dingwall był bardzo wysoki i uroczysty. Miał w twarzy stały tick nerwowy, który sztywność krawata zdawała się jeszcze podkreślać. Był niesłychanie dumny z dodatku, jaki figurował przy jego nazwisku: członek parlamentu, i nie omieszkał nigdy przypominać go swoim rozmówcom, gdy zdawali się nie pamiętać o jego godności. O swoich zdolnościach miał wyobrażenie ogromnie wygórowane. I oczywiście w dyplomacji na małą skalę, t.zn. gdy załatwiał sprawy natury rodzinnej, miał swoje nienaruszone, święte zasady. Osobistość tak znamienita, pełna najszlachetniejszych cnót, siadywała zazwyczaj w wielkim pokoju bibliotecznym, przy stole pokrytym całą górą papierów, nie robiąc absolutnie nic, ale starając się wywołać wrażenie człowieka niesłychanie zajętego. Akta parlamentarne, opatrzone napisem: Cornelius Brook Dingwall, członek parlamentu, leżały ostentacyjnie na stole tak, by od razu mogły rzucać się w oczy interesantom.

Nieopodal gospodarza domu siedziała pani Brook Dingwall, z robótką w ręku. Mały urwis, Fryderyk, ubrany w jakieś ekstrawaganckie okrycie, usiłował przez dłuższy czas zabrać pannie Marii Crumpton krzesło, gdy ta miała zamiar usiąść. Po dłuższym przekomarzaniu się z dzieckiem pan Corneliu. Brook Dingwall przystąpił do rzeczy, stwierdzając na wstępie, że zdecydował się wezwać panny Crumpton na skutek świetnej o nich opinii, wypowiedzianej przez kawalera Alfreda Muggs. Panna Maria Crumpton wymamrotała kilka słów podziwu dla niego (Muggsa), a Cornelius kontynuował:

— Najważniejszym powodem, dla którego zdecydowałem się rozłączyć z moją córką, panną Brook Dingwall, jest to, że w ostatnich czasach nabrała całego szeregu sentymentalnych pomysłów, które należy z jej młodej główki stanowczo wybić.

W tym momencie mały Fryderyk spadł z krzesła, a pani Brook Dingwall odezwała się zgorszona:

— Niedobre dziecko! Zadzwoń, proszę na Jamesa, żeby przyszedł i zabrał go stąd.

— Proszę cię duszko, nie karz go — zwrócił się do żony dyplomata. — Wszystko to wynika z jego ogromnego temperamentu.

To wyjaśnienie przeznaczone było dla panien Crumpton.

— Naturalnie, proszę pana — odpowiedziała starsza panna Crumpton.

Pan Dingwall kontynuował:

— Nie widzę innych możliwości poprawy dla mej córki, jak tylko oddanie jej do zakładu, w którym by znajdowała się w towarzystwie panienek w równym jej wieku. A ponieważ wiem, że w pani instytucie znajdzie koleżanki, które tylko mogą świecić jej dobrym przykładem, zdecydowałem się paniom ją powierzyć.

Młodsza panna Crumpton złożyła podziękowanie w imieniu zakładu, panna Maria milczała ze względu na dotkliwy ból, jaki jej sprawiał mały Dingwall stojąc właśnie obiema nóżkami na jej lewej stopie i zaglądając jej natrętnie w twarz.

— Jeszcze tylko jedno — dorzucił członek parlamentu. — Stan duszy młodej Lawinii jest wynikiem sentymentalnej przygody z pewnym indywiduum, znacznie niższym od niej pod względem moralnym i umysłowym. Mam nadzieję, że Lawinia nie będzie miała okazji spotykać się z nim. Ale żeby jej łatwiej przyszło zapomnieć o tamtej historii, proszę jak najpilniej baczyć, aby panna Brook Dingwall nie zasklepiała się w sobie. Owszem, niech odwiedza oso-

by, które panie zwykły odwiedzać, i niech bierze jak największy udział w życiu towarzyskim instytutu.

Uroczyste oświadczenie męża stanu zostało przerwane przez nagły brzęk tłuczonego szkła. Fryderyk wybił właśnie szybę. W chwili gdy James, którego wezwano, aby uśmierzył jego ogromny temperament, wchodził do pokoju, urwis uciekał co sił.

— Pan Brook Dingwall życzy sobie, aby panna Brook Dingwall nauczyła się wszystkiego — odezwała się pani Brook Dingwall, która zazwyczaj w audiencjach, udzielanych przez męża, uczestniczyła w całkowitym milczeniu.

— To się samo przez się rozumie — powiedziały obie siostry Crumpton.

— A ponieważ wierzę, że plan opracowany przeze mnie pozwoli mojej córce jak najprędzej zapomnieć o tej nieszczęsnej historii — mówił członek parlamentu — mam nadzieję, że panie nie omieszkają stosować się do moich wskazówek.

Panny Crumpton oczywiście najsolenniej przyobiecały stosować się do światłych rad. Po dość długiej jeszcze rozmowie, prowadzonej przez pana Dingwalla z wielkim kunsztem dyplomatycznym, a przez siostry Crumpton z wielkim respektem dla jego osoby, postanowione zostało, że panna Lawinia uda się do Hammersmith w dwa dni później, właśnie gdy w zakładzie będzie się odbywał bal, urządzony z okazji zakończenia pierwszego półrocza szkolnego. Propozycja wypłynęła z ust samego pana Dingwalla, który liczył na to, że zabawa w gronie doborowej młodzieży tym prędzej pozwoli jego córce zapomnieć o romantycznych przeżyciach.

Panna Lawinia została przywołana do pokoju i z całą ceremonialnością przedstawiona swym przyszłym wychowawczyniom. Obie panny Crumpton uznały, że jest to „czarująca panienka", którą to opinię miały zwyczaj wyrażać wobec każdej nowej uczennicy. Wymieniono jeszcze szereg wzajemnych grzeczności i w ten sposób konferencja została zakończona.

Przygotowania (wyrażające się stylem trochę teatralnym) do balu w „Domu Minerva" były rzeczywiście wspaniałe. Największy pokój udekorowany został różami, tulipanami, tudzież innymi sztucznymi kwiatami, które były dziełem samych uczennic. W ciągu tych dwóch dni odbywały się nieskończone próby. Panienki, które miały wystąpić po raz pierwszy, cieszyły się ogromnie, strasznie natomiast irytował się sąsiad, starszy pan, który mieszkał obok.

Wreszcie nadszedł upragniony wieczór.

— Jak się czujesz, droga — pytała panna Emilia Saunders, dziewczyna miła i ładna, panny Karoliny Wilson, swej przyjaciółki, najbrzydszej w Hammersmith, a kto wie, czy nie na całym świecie.

— Wspaniale. A ty?

— Nigdy nie wyglądałaś tak ślicznie jak dziś — odrzekła panna Emilia Saunders, poprawiając suknię i nie spojrzawszy nawet na koleżankę.

— Mam nadzieję, że młody Hilton przyjdzie wcześnie — odezwała się któraś z obecnych, przejęta widać gorączką oczekiwania.

— On jest taki przystojny! — westchnęła inna.

— Taki fascynujący!

— Taki „distingué"!

— Słyszycie — powiedziała wchodząc do pokoju jedna z koleżanek — panna Crumpton mówi, że będzie także jej kuzyn.

— Co? Teodozjusz Butler?

— Przystojny? — dopytywała nową uczennica, która przybyła do zakładu zaledwie przed tygodniem.

— Nie, nie jest specjalnie przystojny — brzmiała chóralna odpowiedź — ale... ale taki interesujący...

Teodozjusz Butler był jednym z tych nieśmiertelnych geniuszy, których spotkać można w każdym towarzystwie. Mają oni zazwyczaj głos głęboki i monotonny. Mają o sobie wyobrażenie, że są chodzącymi doskonałościami, nie wiedzieć czemu zawiedzionymi przez los. Są zarozumiali i dyletanccy, ale pełnym entuzjazmu młodym dziewczętom wydają się ludźmi niezwykłymi. Pan Teodozjusz opinię człowieka nieprzeciętnie inteligentnego zawdzięczał głównie znajomości wyszukanych słów, którymi zwykł był szczodrze szafować.

— Może to już on? — westchnęła któraś z dziewcząt, gdy odezwał się pierwszy dzwonek u drzwi.

Nastąpiła chwila gorączkowego oczekiwania. Gdy służąca otworzyła drzwi wejściowe, w progu pojawiły się najpierw liczne walizki, a potem panna Brook Dingwall, w stroju balowym, ze złotym łańcuszkiem na szyi i pięknym przybraniem głowy, spiętym jedną jedyną różą.

Najpierw panny Crumpton wypytały przybyłą o rodzinę, potem panna Dingwall została uroczyście przedstawiona swym koleżankom.

Ozwał się nowy dzwonek: to pan Dadson, profesor kaligrafii, z żoną. Pani Dadson w zielonych jedwabiach, pantofelki tego samego koloru co włosy. Profesor kaligrafii był w białym tużurku i czarnych spodniach. Dziewczęta na jego widok chichotały, a on tymczasem prawił pannom Crumpton jakieś dusery.

Teraz już dzwonek odzywał się raz po raz i przybywali coraz nowi goście, zbyt liczni, by ich wszystkich wymieniać: babki i matki, wyjaszkowie i ciotki, mistrz śpiewu pan Labskini, w czarnej peruce, akompaniator, skrzypkowie, około dwudziestu młodzieniaszków, którzy trzymali się blisko drzwi, skąpo tylko udzielając się reszcie towarzystwa. Podano kawę.

Na życzenie, wyrażone przez starszą pannę Crumpton, mistrzem ceremonii wybrany został pan Hilton. Rozpoczęły się tańce. Profesor kaligrafii nie przepuszczał ani jednego. Jego żona grała w kącie sali w wista.

Nastrój był ożywiony. Interesująca nas panna Lawinia Brook Dingwall była jedyną osobą, która zdawała się nie interesować przebiegiem wieczoru. Zatańczyła kilka razy, ale bez specjalnej uciechy. Była tak samo obojętna na tenor Labskiniego, jak i na sopran Letycji Pearsons, która odśpiewała „Wspomnienia z Irlandii". Nawet gdy oznajmiono przybycie Teodozjusza Butlera, nie zmieniła swego odosobnionego miejsca w najodleglejszym kącie sali.

— Teodozjusz — mówiła panna Crumpton, prowadząc go w głąb mieszkania — muszę ci pokazać naszą nową pupilkę.

Teodozjusz miał minę młodzieńca obojętnego na wszystkie uroki niewieście.

— Córka członka parlamentu — wyjaśniała panna Maria, nieco zgorszona jego brakiem zainteresowania.

Teodozjusza coś nagle tknęło.

— Jak ona się nazywa? — zapytał z ożywieniem.

— Panna Brook Dingwall.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął Teodozjusz i przyśpieszył kroku.

Panna Brook Dingwall nie zauważyła nawet ich wejścia. Dopiero na głos panny Crumpton wolno uniosła głowę.

— Edward! — zawołała, spostrzegłszy dobrze jej znane żółte spodnie.

Na szczęście, panna Crumpton w czas oddaliła się do innych gości, nie zwróciwszy na jej okrzyk uwagi.

— Och, Edward — mówiła najromantyczniejsza z romantycznych panien takim tonem, jakby dopiero w tej chwili spłynęło na nią światło wiedzy. — Edward, to ty?

Teodozjusz zapewnił ukochaną, że nie zmienił bynajmniej swej postaci i że oto stoi przed nią we własnej osobie.

— Dlaczego... dlaczego... Ach, panie Edwardzie Neville Walter, ileż przecierpiałam przez pana!

— Lawinio, niech mnie pani wysłucha — odpowiedział błagalnym głosem bohater. — Nie odtrącaj mnie, zanim nie zostanę wysłuchany. Jeżeli cokolwiek z tego ,co emanowała z siebie dusza takiego jak ja nieszczęśnika, zostało w twej pamięci, jeżeli w ogóle zasłużyłem na twoją pamięć... Przypominasz sobie zapewne, że kiedyś wydałem, własnym kosztem, książeczkę pod tytułem: „Uwagi na temat projektu zniesienia cła na wosk".

— Pamiętam, naturalnie!

— To właśnie była sprawa, która bardzo interesowała pani ojca.

— Tak, tak — mówiła romantyczna panna Brook Dingwall.

— Wiedziałem o tym — ciągnął Teodozjusz tragicznym tonem. — Wiedziałem i posłałem mu jeden egzemplarz. Pan Brook Dingwall wyraził życzenie, że chce mnie poznać. Czyż mogłem podawać moje prawdziwe nazwisko? Przybrałem imię i nazwisko, jakie i pani znała. Jako Neville Walter przedstawiłem się ojcu pani, jako Neville Walter zdobyłem pani serce, jako Neville Walter zostałem z pani domu wyrzucony. Ale oto znowu jesteśmy razem i z całą powagą mogę oświadczyć: nazywam się Teodozjusz Butler.

Panna Brook Dingwall była najwidoczniej uradowana ze spotkania, bo bez przerwy patrzyła na Butlera.

— Czyż mogę się spodziewać — zapytał — że znowu wróci to, co tak bezlitośnie zostało przerwane przez ojca pani?

— Zatańczymy? — zapytała z kolei Lawinia. Dziewczęta, które ukończyły dziewiętnaście lat, w naszych czasach są już prawdziwymi kokietkami.

— Nie — odezwał się stanowczo posiadacz żółtych spodni. — Nie ruszę się stąd, dopóki nie wyprowadzi mnie pani ze stanu niepewności. Och, Lawinio, czy mogę mieć nadzieję?

— Tak — uśmiechnęło się dziewczę.

— Znów będzie między nami tak jak dawniej?

— Tak...

— Słowo?

— Słowo.

— Na pewno?

— Pan dobrze wie — odrzekła rumieniąc się Lawinia.

Twarz Butlera wyrażała najgłębszą radość.

Ale pozostawmy młodych samym sobie. Domyślimy się bez trudu, że Teodozjusz i panna Lawinia cały wieczór tylko z sobą tańczyli, rozmawiali i wzdychali, i że obie siostry Crumpton musiały być tym zachwycone. Profesor kaligrafii tańczył niezmordowanie, niczem koń wyścigowy, podczas gdy jego żona, jak wiemy, równie niezmordowanie grała w wista. Goście pili wodę z sokiem cytrynowym oraz jakiś łagodny napój, nazwany szumnie „vin brulé". Musimy niestety zrezygnować z opowiedzenia wszystkich szczegółów tego interesującego wieczoru, albowiem trzeba dokładniej opisać wydarzenia znacznie ważniejsze.

W piętnaście dni po balu pan Cornelius Brook Dingwall, członek parlamentu, siedział jak zwykle w wielkim pokoju bibliotecznym, a twarz jego miała wyraz głębokiego zamyślenia i uroczystej powagi. Mąż stanu trudził się właśnie nad pracą p.t. „Wnioski w sprawie najlepszego obchodzenia poniedziałku wielkanocnego".

Do drzwi zapukał lokaj. Prawodawca musiał niestety wyjść ze stanu płodnego zamyślenia. Lokaj oznajmił wizytę panny Crumpton. Oczywiście, wychowawczyni panny Brook Dingwall od razu pozwolono wejść do świętego przybytku.

Panna Maria Crumpton pierwsza rozpoczęła rozmowę. Wyraziła nadzieję, że pani Brook Dingwall i synek są zdrowi, na co otrzymała odpowiedź twierdzącą. Pani Brook Dingwall i mały Fryderyk znajdowali się w Brighton.

— Czuję się ogromnie zobowiązany, panno Crumpton, że trudziła się pani do mnie. Miałem zamiar udać się sam do Hammersmith, aby odwiedzić Lawinię, ale relacja pani w liście była tak zadowalająca, a moje obowiązki w parlamencie tak liczne i pilne, że zmuszony zostałem odłożyć moją wizytę do przyszłego tygodnia. Jakże postępy mojej córeczki?

— Doskonale... naprawdę... — jąkała się panna Maria Crumpton, nie mogąc wykrztusić z siebie brutalnej prawdy, że córka członka parlamentu po prostu uciekła z zakładu.

— Z góry wiedziałem, że plan opracowany przeze mnie musi dać jak najlepsze rezultaty.

Była to doskonała okazja, by powiedzieć, że plan nie musiał być tak doskonały, skoro dał taki opłakany wynik. Ale nauczycielka nie potrafiła stanąć na wysokości wymagań chwili.

— Czy stosowała się pani do wytycznych, jakie podałem?

— Jak najściślej.

— Pisała pani w liście, że humor mojej córeczki uległ znacznej poprawie.

— O, tak! rzeczywiście...

— Od początku byłem tego pewny.

— Ale obawiam się — panna Crumpton zdecydowała się nagle wypowiedzieć wszystko — obawiam się, że plan, jaki opracowaliśmy, nie da zamierzonych rezultatów.

— Dobry Boże! Co się stało? Panno Crumpton!

— Panna Brook Dingwall...

— Co takiego?

— Uciekła...

— Jakto: uciekła? Tak najzwyczajniej w świecie?

— Z kochankiem...

— Z kochankiem! Z kim, pani mówi? Uciekła! Kiedy? Dokąd? Jak? — krzyczał podniecony mąż stanu.

Panna Maria Crumpton, w momencie, gdy kładła na stole listy, zżółkła o wiele bardziej niż zwykle. Listy były dwa: jeden od córki, drugi od Teodozjusza. Ostatni pisany wierszem!

„Gdy list ten dojdzie... daleko... Apelujemy do ojcowskich uczuć... Miłość... niewola..." — czytał członek parlamentu.

Zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— Niech pani to sobie zapamięta! Słyszy pani? — zawołał zatrzymując się nagle przy stole. — Niech pani zapamięta, że nie pozwolę przestąpić progu mego domu człowiekowi, który pisze wiersze. Nigdy! Dam mojej córce i jej mężowi 150 funtów na rok i nie chcę ich widzieć na oczy. I, proszę mi wybaczyć panno Crumpton, zgłoszę w parlamencie wniosek o zniesienie zakładów wychowawczych dla młodych panien.

Od tej deklaracji członka parlamentu upłynęło trochę czasu. Pan i pani Butler prowadzą życie na wsi, w małym domku w Ball's Pond. Pan Teodozjusz pisze ogromnie dużo, ale z powodu dziwnej złośliwości wydawców żadne z jego dzieł nie ukazało się dotychczas w druku. Jego młoda żona zaczyna dochodzić do wniosku, że romantyczne porywy nie na wiele się w życiu przydają i że małżeństwa zawarte w pośpiechu nie są — niestety — najdoskonalsze.

Rozważywszy sprawę na trzeźwo, pan Cornelius Brook Dingwall, członek parla-

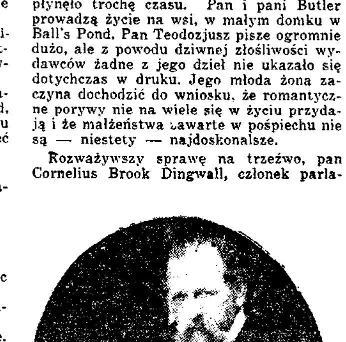

Karol Dickens

mentu, doszedł do przekonania, że rezultat nakreślonego przezeń planu wychowawczego nie był winą panien Crumpton, ale jego... dyplomacji. Pocieszał się jednak, jak wszyscy mali dyplomaci, że choć jego plan nie został uwieńczony sukcesem, to jednak był jak najlepszy. „Dom Minerva" czynny jest jak dawniej, a panny Crumpton jak dawniej uczą młode dziewczęta tańca, języków, zasad dobrego wychowania i w ogóle wszystkiego, co w życiu jest niezbędne.

Tłum. L. B.

WIEDZA I POSTĘP

Zmiany poglądu na budowę materii

Odkrycie elektronu zapoczątkowało nową gałąź nauk fizycznych, t.zw. fizykę nowoczesną. Zajmuje się ona głównie atomami, drobinami i budową materii. Rozwój jej poczynił tak olbrzymie postępy, że przesłoniła ona wszystkie inne działy nauk fizycznych. Nie jest przesadą, że ostatnie odkrycia w dziedzinie fizyki atomowej mają, a w przyszłości będą miały jeszcze większy wpływ na rozwój cywilizacji.

Każdy, kto chce zrozumieć znaczenie bomby atomowej i zastosowania energii jądrowej w życiu gospodarczym świata, musi zrozumieć podstawową teorię budowy atomu, wielkości z jakimi się w niej spotykamy, oraz przyswoić sobie określenie i terminy, używane w fizyce nowoczesnej.

Bez znajomości tych pojęć znalazłby się on w pozycji widza meczu tenisowego, który nie rozumie ani zasad gry, ani słów takich jak rakieta, siatka, pole itp.

Samo pojęcie atomu w budowie materii jest bardzo stare. Podobnie jak wszystkie pojęcia, z wyjątkiem prawd wiecznych, ulegało ono ciągłym przemianom. Jest rzeczą znamienną, że najnowsze zdobycze fizyki atomowej pokrywają się z ideą budowy materii, głoszonych przez filozofów staro-greckich. Leucipp (około 500 lat przed Chr.) a po nim Demokryt (460 — 357 lat przed Chr.) głosili, że:

— wszystko, co istnieje w świecie jest zbudowane z małej ilości prostych składników,

— materia składa się ze stałych, nieściśliwych cząsteczek, które są niepodzielne, a tak małe, że nie można ich zobaczyć, przy czym ilość ich jest nieskończenie wielka. Cząsteczki te nazywano atomami, czyli niepodzielnymi.

(Fata sunt... ideae.)

Nie wszyscy jednak zgadzali się z tego go rodzaju teorią. Ostatnim epigonem opozycji był prof. Ernest Mach z Wiednia zmarły w 1916 r.

Ale najważniejszym z nich był Arystoteles (384 — 322 przed Chr.). On to właśnie wywarł przygniatający wpływ na myśl świata zachodniego na przeciąg około 2000 lat. Jego doktryny, szczególnie w średniowieczu, miały charakter nieomal dogmatyczny. Według niego, były cztery żywioły: ziemia, powietrze, woda i ogień. To nie były pierwiastki, tak jak dzisiaj rozumiemy pierwiastki chemiczne, lecz raczej elementarne właściwości materii. Przedstawiały one właściwości ciepła i zimna, suchości i wilgoci. Wszystkie ciała były połączeniem kilku rodzajów materiałów pierwotnych, zmieszanych z czterema elementarnymi właściwościami, ale w różnych proporcjach. Uczeni arabscy, którzy byli również pod silnym wpływem Arystotelesa, wprowadzili dalsze trzy żywioły: siarkę, rtęć i sól. Nie były to również pierwiastki w dzisiejszym pojęciu, lecz elementarne właściwości ciał. I tak siarka oznaczała zapalność, rtęć — połysk, a sól — rozpuszczalność.

Obecnie teoria Arystotelesa o budowie materii, jako całkowicie błędna, została odrzucona przez wszystkich. Wyjątek tutaj stanowią astrologowie, którzy nadal opierają na niej wszystkie swoje przesłanki.

Teorię atomowej budowy materii, opartą na ścisłych podstawach, zbudował Jan Dalton (1766 — 1844). Z przeprowadzonych doświadczeń wyciągnął on wnioski, że cząsteczki różnych rodzajów materii różnią się zarówno ciężarem jak i siłą wzajemnego przyciągania, a łączą się między sobą w zależności od warunków w różnych kombinacjach.

Atomy jednego, lub kilku różnych pierwiastków mają dążność do łączenia się w grupy. Grupy te noszą nazwę molekuł albo drobin. Drobiny wodoru, tlenu, azotu i wielu innych pierwiastków w normalnej temperaturze i ciśnieniu składają się z dwóch atomów, natomiast helu, neonu i większości metali w stanie parowym — z jednego atomu.

Połączenie atomów różnych pierwiastków w jedną drobinę nazywamy związkiem chemicznym. Związki chemiczne mogą zawierać najwyżej kilka atomów. Wyjątek stanowi węgiel, który z atomami innych pierwiastków może tworzyć drobiny zawierające setki, tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy atomów. Ta właściwość węgla, dotychczas niczym nie wytłumaczalna, decyduje w ostatecznym stopniu o różnicach między życiem a jego nieobecnością.

Podstawową teorię o drobinach zawdzięczamy Amadeuszowi Avogardo (1776—1856). Dzięki pracom Daltona i Avogardo zostały ściśle ustalone pojęcia atomu, drobiny, związku chemicznego i pierwiastka. Atomy poszczególnych pierwiastków fizycznych różniły się ciężarem atomowym. Na tej podstawie Dymitr Iwanowicz Mendelejew (1834 — 1907) zestawił wszystkie pierwiastki w pewien układ porządkowy i stwierdził, że niektóre z nich, w pewnych okresach, mają podobne właściwości. Powstała w ten sposób t.zw. tablica okresowa Mendelejewa. Na tej podstawie Mendelejew przepowiedział właściwości pierwiastków nie znanych. Z tablicą Mendelejewa musiał się zetknąć każdy, ktokolwiek się uczył chemii, nawet na najniższym poziomie.

Według ówczesnych pojęć wymiary atomu i drobiny są tak małe, że nie można ich zobaczyć nawet przez najsilniej powiększające szkła. W świadomości tego stanu nauki Fryderyk Wöhler (1860 — 1932) stwierdził apodyktycznie, że pojęcie pierwiastka jako budulca materii jest już ostateczne i niezmienne.

Lecz wkrótce nadszedł rok 1895, w którym zapoczątkowano serię odkryć, zakończoną pracami Marii Curie Skłodowskiej. Wynik jej zmienił wszystkie poglądy na budowę materii, dając początek fizyce nowoczesnej.

Inż. A. Gac

TEATR NIEOBECNYCH

„Był czas, gdy po strzaskaniu mu czaszki człowiek umierał i na tym był koniec, a dziś wraca on z 20 śmiertelnymi ranami na głowie i spycha cię z miejsca na którym siedzisz..."

Hamlet, III, IV, 78 — 82

W teatrze dziś święcą nieobecni, a więc przede wszystkim umarli. Dziwnie oswoiliśmy się z ich śmiercią. Zdawałoby się, że nas już żywi przestali interesować. Toteż teatr który żywo reaguje na tego rodzaju nastroje, używa sobie dzisiaj na widzach. Główne role poświęca nieobecnym. Ktoś zresztą już zauważył, że nie ma przecież sztuki teatralnej, w której występowałoby coś innego, oprócz upiorów.

O tym, że duchy dokonały inwazji na scenę, wiadomo choćby z faktu, że od 5 lat wielkim powodzeniem cieszy się grana bezustanku w Anglii i na kontynencie sztuka Noel Covarda „Wesołe duszki" (Blith Spirith). Sztuka została przerobiona na film i w tej formie znów obiega cały świat. Wiadomo też o tym z racji wystawienia w Paryżu sztuki Salacrou pt. „Zapalczywość Karoliny" (La fougue de Caroline), czy też granej w Rzymie sztuki pt. „Ach, te widma" (Questi fatasmi) de Filippo.

W pierwszej komedii bohaterkami są właściwie rywalizujące ze sobą na scenie duchy żon bohatera, w drugiej umarli schodzą z obrazów, aby mieszać szyki ludziom żywym, a w trzeciej żywi traktowani są jak duchy, aby nie brać zbyt poważnie rzeczy naprawdę tragicznej. Tak jakoś oswoiliśmy się z duchami, że zaczynamy z nich sobie żartować.

Równocześnie grano w Medjolanie Kesserlinga „Arszenik i stare koronki". Sztukę pomyślaną jako satyrę na egzystencjalizm i idealizację śmierci. Dwie łagodne babcie zobaczywszy błogość na obliczu nieszczęśliwego starca po jego zgonie poświęcają się całkowicie idei uszczęśliwiania ludzi przez przenoszenie ich na tamten świat. Są to prawdziwe kpiny ze śmierci, i ta sztuka udaje im się do dwunastu razy, nim świat się opatrzył, że cały ten dom - taruszek składał się z samych wariatów i był prawdziwą fabryką szczęśliwych duchów.

One też grasowały i na innych scenach. W Solothurn, siedzibie dawnych tradycji teatralnych w Szwajcarii odbył się zjazd Towarzystwa Szwajcarskiej Kultury Teatralnej i Tow. Szwajcarskich Dramaturgów. Na przedstawienie inauguracyjne dano premierę sztuki kameralnej pt. „Cienie" („Die Schatten") Wernera Rudolfa Beera z Berna.

Cóż było jej treścią? Młody chłopak żyje pełną czci miłością dla swego zmarłego ojca, a nienawidzi ojczyma. I oto w toku akcji dowiaduje się, że ten ojczym jest jego właściwym ojcem, a że jego rzekomy ojciec przywiązywał go do siebie tylko dlatego, żeby zemścić się na wiarołomnej żonie i jej kochanku. Młodzieniec z rozpaczy chce popełnić samobójstwo, od którego odwodzi go oddany sługa, i tu znowu centralną postacią jest „cień" zmarłej osoby.

W tych warunkach trudno nie nabrać przekonania, że nas jest coraz mniej. Rozradzamy się wolniej, niż mnożą się duchy w koło nas, schodzą się one tutaj na padół płaczu, jak gdyby rzeczywiście egzystencjaliści zlikwidowali tamten świat i po śmierci była tylko nicość. I hasło to podejmuje scena jakby sama głosiła: „Z nicości powstał, w teatr się obrócisz".

Na tym jednak bynajmniej nie koniec. Nieszczęścia chodzą seriami, duchy chodzą seriami, więc i sztuki o duchach pojawiają się seriami. W Paryżu wystawiono przerobioną z powieści Daphne du Maurier sztukę pt. „Rebeka", jeszcze przedtem sfilmowaną. Bohaterką jej jest cień zmarłej pani domu, której wierna gospodyni wystrasza nim jej następczynię. Sztuka nie znalazła tego powodzenia co film. Coś z poezji pierwowzoru powieściowego zniknęło i zostały podobno tylko strzępy. To jedna z porażek poniesionych przez duchy na scenie.

Ale miewają one i swoje zwycięstwa. Mamy tu na myśli dwa duchy zmarłych w dwóch wznowionych w Rzymie sztukach amerykańskich. Pierwsza z nich było grane przez długie miesiące „Dziwne Intermezzo" O'Neila w „Eliseo" rzymskim. Blisko czterogodzinne widowisko w 9 aktach. Napisane po poprzedniej wojnie dziś może jest dopiero należycie przeżywane. Są to dzieje trzech mężczyzn — z których każdy w inny sposób ubiega się o względy bohaterki, nad której losem zaciąża cień poległego na wojnie narzeczonego. Przyjaciel, kochanek, mąż, syn są tylko postaciami mającymi wcielić w życie czy odkupić śmierć tamtego, któremu się bohaterka sztuki całkowicie poświęciła, nawet w momentach chwilowych zapomnień.

Ta dobrze napisana sztuka, grana przez jeden z najlepszych zespołów włoskich była interesująca również z punktu widzenia pewnej nowości wprowadzonej do inscenizacji. Aktorzy bowiem wypowiadają w niej nie tylko teksty, składające się na ich zwykłe role, ale również ujawniają swoje skryte myśli, których by w życiu nigdy nie ośmielili się wyznać. I właśnie w tych momentach gdy się w ten sposób wywnętrzają — cała scena zamiera na chwilę w bezruchu — po czym akcja toczy się dalej.

Jest to chwyt w nowoczesnym teatrze nowy, jakkolwiek chyba nie bez precedensów w dziejach sztuki dramatycznej. Jest to bowiem unowocześniona postać — mówienia na stronie. Nie jest to jedyna zresztą innowacja na scenie wprowadzona przez O'Neila. W jednej z poprzednich swoich sztuk użył on innego chwytu. Po prostu wszyscy — jak w starożytnej tragedii — grali w maskach, a zdejmowali je tylko w momentach szczególnej szczerości.

My Polacy, warto to przy sposobności przypomnieć, mieliśmy również takich nowatorów formalnych w teatrze. Był nim Stanisław Ignacy Witkiewicz, popularnie Witkacym zwany, który wprowadził na scenę logikę czy też psychologię marzenia sennego. Ale dziś i on należy już do świata umarłych.

Inną sztuką, którą w tym związku można wymienić, jest grany w rzymskim teatrze delle Arti „Skamieniały las" R. E. Sherwooda, gdzie znów promotorem głównej akcji jest właściwie zmarła matka bohaterki, Francuzka, która zaszczepiła młodej Amerykance tęsknotę za rodzinnym Bourgiem we Francji. W tej tęsknocie ma swój początek jej romantyzm i żądza przygody: intelektualnej i miłosnej. Z tej to racji zwraca uwagę na zdeklasowanego pisarza o zwichniętej karierze, który żyje jako tramp i przyjaźni się z opryszkiem, mającym być wyobrażeniem niezaspokojonych aspiracji wybujałego indywidualizmu. Nasz tramp każe się opryszkowi zastrzelić, aby umożliwić wyjazd dziewczyny do Francji za uzyskane z ubezpieczenia pieniądze. Wszystko to odbywa się w atmosferze rozstrzygania wielkich problemów wewnętrznych i... rozprężenia charakterystycznego dla każdej epoki powojennej.

Ta trochę naciągnięta, choć ciekawa i chwilami zręcznie zrobiona sztuka, dziś razi już egzaltacją i fałszem a zwłaszcza jeśli reżyserowana jest jak trzeciorzędny film cowbojski. Wówczas bowiem „Skamieniały las", gdzie ma być pochowany zawiedziony pisarz, i który ma wyobrazić wymieranie ideałów intelektualnych, zatraca resztki poezji pomimo najlepszych starań młodych aktorów, grających główne role.

Tu od duchów przechodzimy wyraźnie do świata symbolu. Symbolizm jeszcze najwyraźniej pokutuje na scenach całego świata więc także i rzymskiej. W „Lesie" mamy wyobrażenia zakrzepłego w kamieniu życia dawnej bujnie krzewiącej się, jak drzewa, idei, w „Cieniu i rzeczywistości" O'Carrola — również granym w „delle Arti", mieliśmy poświęcenie się nawiedzonej widzeniami dziewczyny, będącej symbolem odkupienia przez żywą w niej religię cienia religijności, uosobionego w otaczających ją przedstawicielach kleru irlandzkiego. Symbolizm bywa i pośledniejszego gatunku, jak w innej jeszcze sztuce granej w tym samym teatrze, w której miliony dolarów odgrywały rolę tyrana, od którego szukało się wyzwolenia w „niezależnym życiu"? (Nie wiedamo czy chodzi o wyzwolenie się przez pracę, czy tylko przez przygodę).

Tak więc od duchów łatwo przejść do martwych symbolów. Aby się od nich wyzwolić nie ma innej rady jak bardziej otrząsać się ze zwyczajnym życiem, gdy do niego będzie można spokojnie powrócić. Zdaje się, że pomimo pokoju, chwila ta jeszcze nie nadeszła. Wskazuje na to teatr, którego bohaterami stają się Sartra „Żywcem pogrzebani". Zadanie przywrócenia wizji normalnego życia przerastą jeszcze możliwości sceny, tak jak przerasta chyba także i możliwości współczesnego widza.

On

WYJEŻDŻAJĄCY DO KRAJU

Zawiadamiamy, że z dniem 10 stycznia 1947 zamówienia na paczki z lekarstwami, sporządzanymi i wysyłanymi do Polski przez naszą Firmę na zlecenie Firmy: „Export & Relief Co.", należy kierować bezpośrednio pod adresem naszej Firmy.

Osoby nie posiadające naszych cenników paczek specjalnych (Cenniki No. 3 i 4, które były ogłaszane w prasie oraz przesyłane przez Firmę „Export & Relief Co."), mogą je otrzymać natychmiast na każde żądanie.

Gotowe nasze paczki posiadają preparaty najbardziej poszukiwane w Kraju i ze względu na to, że paczki te złożone są z jednego preparatu w większej ilości, przedstawiają dla każdego aptekarza w Polsce dużą wartość handlową.

Firmie naszej udało się również zorganizować wysyłkę nowych paczek standartowych, zawierających preparaty własnej produkcji w polskich opakowaniach oraz 7 — 9 różnych surowców, przedstawiających największą wartość handlową w Kraju.

Cena paczki „A" łącznie z portem, opakowaniem i ubezpieczeniem Ł. 3. 14. 0.

Cena paczki „B" łącznie z portem, opakowaniem i ubezpieczeniem Ł. 5. 0. 0.

Na żądanie prześlemy zainteresowanym dokładny spis powyższych dwuch nowych i innych paczek standartowych.

Wszelkie nasze paczki wysyłane są natychmiast listami poleconymi i dzięki temu docierają do Kraju przeciętnie w ciągu 14 dni.

Wyjeżdżający do Kraju proszeni są o pozostawienie w naszej Firmie lub przesłanie nam z Kraju swych adresów lub adresów swoich Rodzin, gdyż jako jedyna Firma Farmaceutyczna na terenie Anglii, produkująca i wysyłająca paczki z wyrobami chemicznymi i farmaceutycznymi do Polski, posiadamy wszelkie ułatwienia w wysyłce naszych paczek po cenach eksportowych.

Wszystkim Osobom, które podadzą nam swoje adresy, przesyłać będziemy co miesiąc bezpłatne BIULETYNY informujące jakie gotowe lekarstwa i chemikalia można wysyłać do Polski na podstawie aktualnych zarządzeń Board of Trade i posiadanych przez nas pozwoleń eksportowych.

Dotychczasowa działalność naszej Firmy, legitymująca się wysyłką do Polski wielu tysięcy paczek z lekarstwami na zlecenie firm, instytucyj i osób prywatnych, daje pełną gwarancję, że Klienci wyjeżdżający do Polski i pozostawiający u nas w depozycie pewną sumę na wysyłkę paczek, będą szybko i solidnie obsłużeni według swoich życzeń, przesłanych nam obecnie lub z Kraju.

Zainteresowani mogą również za pośrednictwem The Post Office Saving Bank, Polish Saving Section — 10, Beaufort Gardens, London, S. W. 3, przesłać nam upoważnienia, wystawione na naszą Firmę, do podjęcia oszczędności, celem wykonania ich zamówień.

Podpisy Klientów na upoważnieniach winny być uwierzytelnione przez ich przełożonych.

Wszelkie zamówienia wraz z należnością prosimy kierować bezpośrednio pod adresem Firmy:

ASMIDAR LTD. (Chemists),

16/18, Douglas Street, London, S. W. 1.

(równoległa do Vauxhall Bridge Road)

PO „WYBORACH" W POLSCE

SPRAWY POLSKIE

Rząd polski o „wyborach"

Rząd R. P. ogłosił dn. 21 stycznia 1947 następującą deklarację:

„Stosownie do uchwał powziętych w Jałcie, trzy mocarstwa powołały do życia w Polsce tzw. tymczasowy rząd jedności narodowej, którego zadaniem miało być przeprowadzenie wolnych i nieskrępowanych wyborów. Podstawą tego ustanowionego w Moskwie rządu, był wprowadzony do Polski przez wojska sowieckie Komitet Lubelski, składający się przeważnie z agentów Kominternu.

Możność ustanowienia lub zmiany rządu jest podstawowym i niepozbywalnym prawem każdego niepodległego narodu. Decyzje jałtańskie, powzięte bez udziału i bez zgody Rządu R. P. i niewątpliwie wbrew woli Narodu Polskiego, stawiając się ponad prawem, naruszyły suwerenne prawa Polski.

Rząd Polski, w proteście ogłoszonym na zajutrz po konferencji jałtańskiej oświadczył, że decyzje konferencji dotyczące Polski nie będą uznane przez rząd ten i nie będą wiązały Narodu Polskiego. Jednocześnie Rząd Polski stwierdził, że powierzenie przeprowadzenia wyborów tzw. tymczasowemu rządowi jedności narodowej nie da Narodowi Polskiemu możności swobodnego i nieskrępowanego wypowiedzenia swej woli.

Tzw. tymczasowy rząd jedności narodowej, niezwłocznie po uzyskaniu warunkowego uznania, rozpoczął wprowadzanie w Polsce systemu rządzenia, wzorowanego na totalitarnym ustroju sowieckim. W działalności swojej oparł się na terrorze policyjnym i wyzysku gospodarczym. Zniósł swobody obywatelskie i uniemożliwił Narodowi Polskiemu wolny rozwój życia politycznego, bez którego wybory są pozbawione rzeczywistego znaczenia.

Mimo zobowiązania wobec trzech mocarstw ogłoszenia w najkrótszym czasie wolnych i nieskrępowanych wyborów, co było warunkiem jego uznania, rząd tymczasowy przeprowadził wybory dopiero po półtorarocznej zwłoce, którą wyzyskał dla zniszczenia niezależności politycznej społeczeństwa polskiego.

Wybory zostały przeprowadzone na podstawie nowej ordynacji wyborczej ułatwiającej władzom wszelkie fałszerstwa i nadużycia. Do wyborów nie dopuszczono stronnictw niezależnych, a miliony obywateli pozbawiono prawa głosowania. Wyniki wyborów zostały z góry ustalone.

W obliczu zbrodni sfałszowania woli Narodu Polskiego, Rząd Polski stwierdza:

że wybory w Polsce nie były wolne ani nieskrępowane,

że wyniki wyborów nie są wyrazem swobodnej woli Narodu Polskiego,

że mimo terroru, postawa społeczeństwa polskiego przed wyborami oraz w czasie wyborów, wykazała, że jest ono przeciwne narzuconemu Polsce rządowi i ustrojowi,

że tzw. tymczasowy rząd jedności narodowej, przez niewypełnienie przyjętych zobowiązań w sprawie wyborów, przekreślił uchwały jałtańskie, powołujące go do życia,

że „rząd", utworzony na podstawie „wyborów" z dnia 19 stycznia 1947 r. nie może być uznany przez mocarstwa,

że w najkrótszym czasie powinny się odbyć w Polsce prawdziwie wolne i nieskrępowane wybory.

Rząd Polski uważa, że dla zapewnienia istotnej wolności nowych wyborów należy:

wycofać wszystkie wojska sowieckie i wszelkiego rodzaju jawną i tajną policję sowiecką z całej Polski,

usunąć obecną, narzuconą Polsce administrację komunistyczną i zastąpić ją przez administrację cieszącą się zaufaniem Narodu Polskiego,

przywrócić praworządność w Polsce,

przywrócić obywatelom polskim wszystkie prawa obywatelskie i polityczne, w szczególności wolność sumienia, wolność słowa oraz wolność zgromadzeń i zrzeszeń,

przywrócić demokratyczną ordynację wyborczą.

W Jałcie trzy mocarstwa zobowiązały się umożliwić Narodowi Polskiemu wyrażenie jego woli w wolnych i nieskrępowanych wyborach. Naród Polski nie miał dotąd możności wypowiedzenia się i nadal pozbawiony jest prawa swobodnego urządzania swego kraju. Zobowiązanie przyjęte przez mocarstwa nie zostało wykonane.

Rząd R. P. pragnie podkreślić swoje najgłębsze przekonanie, że trwały pokój może się opierać jedynie na wolności wszystkich narodów."

Zmasakrowane zwłoki ś.p. prezesa Hachlicy, złożone do trumny, okrytej sztandarem PSL, na którym widnieje tradycyjny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej

Oświadczenie Departamentu Stanu

Amerykański Departament Stanu ogłosił w sprawie „wyborów" w Polsce oświadczenie mające aprobatę osobistą Sekretarza Stanu George C. Marshalla. Poniżej podajemy, w wolnym tłumaczeniu tekst oświadczenia ogłoszony przez „New York Herald Tribune":

„Sprawozdania otrzymane z ambasady Stanów Zjednoczonych w Polsce bezpośrednio przed wyborami, jak również te sprawozdania, które nadeszły po nich i opierają się na obserwacjach poczynionych przez urzędników amerykańskich, którzy zwiedzili pewną ilość ośrodków wyborczych, potwierdzają obawy wyrażone przez rząd amerykański, że wybory nie będą wolne.

„POTWIERDZONE SPRAWOZDANIA"

„Sprawozdania te zostały potwierdzone przez ogólny ton, w jakim utrzymywane są depesze korespondentów zagranicznych z Polski.

„Jasnym jest, że rząd tymczasowy nie ograniczył się do stłumienia tzw. „ruchu podziemnego", lecz zastosował rozległe zarządzenia przymusu i zastraszenia przeciwko tym czynnikom demokratycznym, które były lojalne wobec Polski nie będąc jednak zwolennikami „bloku" rządowego. W tych warunkach rząd Stanów Zjednoczonych nie może uznać, że postanowienia układów w Jałcie i Poczdamie zostały wypełnione.

„Rząd Stanów Zjednoczonych wyraźnie wyjaśnił, że nie pragnie interweniować w wewnętrzne sprawy Polski. Na mocy spoczywającej na nim odpowiedzialności, jako jednego z głównych państw biorących udział w wyzwoleniu krajów europejskich spod okupacji narodowo-socjalistycznej, podjął się razem z rządami brytyjskim i sowieckim zapewnienia narodowi polskiemu, który przebył tak długie cierpienia, możności wyboru rządu odpowiadającego życzeniom tego narodu.

ZŁAMANE ZOBOWIĄZANIA

„Toteż w związku z tym zapewnieniem rząd amerykański zgodził się na dotyczące Polski decyzje powzięte na konferencji w Jałcie, włącznie z decyzją uznania Tymczasowego Polskiego Rządu Jedności Narodowej.

„Dotyczące Polski decyzje, które przyjęte zostały w całości przez Tymczasowy Rząd Polski, stanowiły część serii porozumień osiągniętych między rządami Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Sowietów. Rząd Stanów Zjednoczonych uważa, że Tymczasowy Rząd Polski nie wypełnił swych uroczystych zobowiązań.

„Rząd Stanów Zjednoczonych zdecydowany jest nadal interesować się pomyślnością narodu polskiego.

„Zastrzegając sobie pełną swobodę działania w sprawie określenia swego przyszłego stanowiska wobec rządu polskiego, rząd amerykański będzie nadal informować się o rozwoju sytuacji w Polsce za pośrednictwem swej misji dyplomatycznej w Warszawie."

„Konspiracja komunistyczna"

„New York Times" z dnia 21 stycznia br. zamieścił artykuł wstępny, omawiający wyniki „wyborów" w Polsce. Stwierdziwszy, że „wybory" były ... fałszerstwem i farsą nawet mniej maskowaną niż głosowanie w państwach bałkańskich, pismo zaznaczyło, co następuje:

„Wszystko to było znane i wszystko to było przewidziane wtedy, gdy rządy Stanów Zjedn. i W. Brytanii zakładały swe kilkakrotne protesty przeciwko metodom stosowanym przez reżym w Polsce w kampanii przedwyborczej i wtedy, gdy rząd Stanów Zjedn. ponownie zwracał się do Rosji z wezwaniem podjęcia wspólnej akcji celem zmuszenia reżymu do honorowania zobowiązań danych w Poczdamie.

„Jeżeli państwa te nie osiągnęły celu to przynajmniej umiejscowiły odpowiedzialność tam, gdzie być powinna. W. Brytania i Stany Zjedn. ustaliły również wyraźnie dwa fakty, które będą miały na uwadze w przyszłości.

„Pierwszy fakt to ten, że partia komunistyczna nie jest partią polityczną ale konspiracją, która posługuje się metodami demokratycznymi, aby zabijać demokrację i stosować terror, jeżeli spostrzega, że wybory są przeciwko niej.

„Drugi fakt to ten, że reżym w Polsce przekreślił układ w Poczdamie, jeżeli chodzi o postanowienia tego układu w stosunku do tego reżymu. Rządy Stanów Zjedn. i W. Brytanii powinny teraz zrewidować swą politykę. Niezależnie od tego, do czego doprowadzi ta rewizja, jesteśmy przeświadczeni, że jej następstwem nie może być dalsza pomoc finansowa dla reżymu w Polsce. Taka pomoc, którą Departament Stanu okazywał w przeszłości".

Kiedy p. Zilliacus chce wolnych wyborów?

Poseł K. Zilliacus, poseł do Izby Gmin i członek Labour Party, przewódca grupy zwolenników najbardziej prosowiecko zabarwionej polityki zagranicznej W. Brytanii, zwrócił się ostatnio do redaktora „Manchester Guardian" z listem poświęconym sprawie „wyborów" w Polsce.

W liście tym opublikowanym dnia 18 stycznia br. p. Zilliacus wystąpił między innymi z tezą, że zawarte dotychczas układy w Teheranie, Jałcie, Moskwie i Poczdamie zobowiązują sygnatariuszy do udzielenia pomocy rządowi polskiemu do ustabilizowania się w Kraju, przeprowadzenia odbudowy, wytępienia faszyzmu, ugruntowania podstaw demokracji i przeprowadzenia wolnych wyborów. Natomiast nie dają one Anglii i Ameryce prawa do jednostronnego interpretowania tych układów bez uwzględnienia sowieckiego punktu widzenia, jak i do interwenlowania w polskie sprawy wewnętrzne przez udzielanie poparcia opozycji Mikołajczyka wobec rządu.

Wymienione państwa anglosaskie — pisze dalej Zilliacus — starają się przeforsować punkt widzenia nie tylko przez odmawianie zwrotu złota polskiego, udzielania kredytów i uznania granic zachodnich, ale równocześnie zmuszają do przeprowadzenia wyborów wbrew opinii rządu polskiego, iż przy obecnym stanie niedostatecznej odbudowy kraju i przy obecnej sile podziemnych ruchów faszystowskich i reakcyjnych, wybory „doprowadzić mogą do obalenia demokracji". Ta działalność rządu angielskiego i amerykańskiego ma, zdaniem Zilliacusa, na celu jedynie zwalczanie komunizmu i wpływów sowieckich drogą popierania prawicy przeciwko lewicy.

List kończy się atakiem na opozycję i ruch podziemny w Polsce, których oskarża się „o fanatyczną nienawiść do ZSRR", o marzenia o polskiej kontrrewolucji „pod kierunkiem gen. Andersa i anglo-amerykańskim patronatem" oraz o trzeciej wojnie światowej przeciwko ZSRR.

W odpowiedzi na ten list „Manchester Guardian" ogłosił dnia 2. stycznia br dwa listy nadesłane do redakcji.

Autor pierwszego z nich, socjalista p. W H. Trickett, stwierdza, że list p. Zilliacusa opiera się na fałszach. Stany Zjednoczone i W. Brytania nie mogły przyjść z pomocą obecnemu rządowi w przeprowadzeniu wolnych wyborów, gdyż rząd ten nie okazywał najmniejszej chęci do ich przeprowadzenia. Wie on, że nie ma za sobą większości w Kraju i prowadzi zaciętą walkę o władzę. Gdyby miał poparcie w większości. nie sprzeciwiałby się wolnym wyborom Dopiero po uzyskaniu władzy tą drogą — zaznacza autor listu — rząd ten miałby prawo użyć siły przeciwko elementom pragnącym obalić go siłą. Zilliacus myli się jednak — pisze p. Trickett — sądząc, że obalenie rządu polskiego równoznaczne jest z obaleniem demokracji. Reprezentując socjalistów walczących przeciwko wszelkiej formie dyktatury sprawowanej czy to przez prawicę, czy to przez lewicę, rząd brytyjski musiał protestować przeciwko warunkom w jakich były przeprowadzone wybory. Jeśli protest ten poparli faszyści i inni przedstawiciele skrajnej prawicy, to to w niczym nie podważa jego słuszności, gdyż nastąpił z zupełnie innych motywów. W końcu listu stwierdza:

„Protestujemy też przeciwko obecnemu rządowi hiszpańskiemu Sekundują nam w tym nasi koledzy komunistyczni Znów dzieje się to z zupełnie odmiennych motywów. Jest wiele podobieństwa między warunkami istniejącymi w Hiszpanii i w Polsce, ale też wiele rzeczy w obu tych krajach może budzić ubolewanie socjalisty i demokraty".

Drugi korespondent p. D Kerr zaznacza w swoim liście do redakcji, że z twierdzenia, jakoby polityka anglo-amerykańska parła do przedwczesnych wyborów w Polsce, wynika, że „przy wolnych wyborach istniałoby niebezpieczeństwo, iż obecny rząd polski poniósłby porażkę przy urnie". P. Zilliacus nie podziela również zdania, że władza musi spoczywać w ręku partii, która uzyskała największą ilość głosów w wolnych i niesfałszowanych wyborach, bez względu na to, czy jest on za partią czy przeciwko niej. Autor listu przypomina wreszcie, że p. Zilliacus występując przeciwko życzeniu Anglii i Ameryki przeprowadzenia wolnych wyborów w Polsce, gdyż wybory te mogłyby obalić istniejący rząd ale jest jednocześnie gorącym zwolennikiem przeprowadzenia wolnych i nieskrępowanych wyborów w Hiszpanii, w celu dania wyborcom możliwości obalenia ich rządu.

„Z listu p. Zilliacusa — kończy p. Keer — można więc sądzić, że jest on zwolennikiem wolnych wyborów tylko wtedy, gdy pewny jest zwycięstwa swego obozu".

Bezpieka zdobywa British Council w Warszawie

(O) Niedawno „Manchester Guardian" podał p.t. „Głód książki angielskiej w Polsce" korespondencję o działalności British Council w Warszawie. Autor tej korespondencji przedrukowanej w poprzednim numerze „Orła Białego" chwalił sobie rozwój przyjaznych stosunków ze społeczeństwem polskim na gruncie współpracy kulturalnej i podkreślał pocieszający fakt, że władze polskie nie hamują tych dążeń.

Obecnie „The Economist" ogłosił notatkę p.t. „P. Bierut i British Council", w której opisuje rychły epilog, jaki znalazły te przyjazne i niehamowane dotychczas stosunki

Okazuje się, że z osobistego polecenia p Bieruta jako „prezydenta polskiej republiki" uzbrojona policja bezpieczeństwa w Warszawie wtargnęła do lokalu British Council i zarekwirowała go dla pomieszczenia w niej urządzeń Polskiego Konserwatorium Muzycznego. „The Economist" ze zgryźliwą ironią opisuje ten wypadek „nie pozbawiony głębokiego napięcia dramatycznego" w następujących słowach:

„Wiadomo dobrze, że oddziały British Council są w krajach miłujących wolność gniazdami reakcji, dobrze zaopatrzonymi w broń i materiały wybuchowe oraz bronionymi przez zdecydowanych na wszystko ludzi rekrutujących się spośród dawnych commandosów. Człowiek mniej śmiały od prezydenta Bieruta zawahałby się przed podjęciem próby zajęcia tego rodzaju warowni bez silnego wsparcia czołgów i artylerii, ale jego oddziały przeprowadziły to ryzykowne przedsięwzięcie bez użycia broni cięższej od ręcznych karabinów maszynowych. Garnizon brytyjski, znalazłszy się w obliczu moralnej siły okazanej przez wschodnią demokrację, nie stawił oporu i rzekoma próba skorumpowania ducha policjantów przy pomocy literatury rozpowszechnianej przez British Council, jak się zdaje, nie potrafiła odwieść nowej Polski od jej celów i metod"

„Afera ta ukazał p. Bieruta w przededniu wyborów w pociągającej roli polskiego patrioty dbającego o narodową kulturę. Może nie będzie niewłaściwym podsunąć tutaj myśl, że sądząc z jego przeszłości potrzebował on raczej tego rodzaju reklamy dla okazania natężenia swych uczuć patriotycznych. Bo jego dawna kariera nie była wolna od pewnej dwuznaczności co do jego przynależności państwowej, zupełnie niezrozumiałej dla wielu Polaków".

To czasopismo brytyjskie daje soczysty życiorys p. Bieruta, wypominając mu m. in jego udział w rewolucji sowieckiej, posiadanie obywatelstwo sowieckie, przynależność do NKWD i uznanie przyłączenia Ziem Wschodnich do ZSRR na podstawie układu Ribbentrop — Mołotow.

„Są Polacy, którzy z tej przeszłości wnoszą, że nie żywi on bynajmniej uczucia prostodusznej wierności dla swego kraju — czyż mógł więc lepiej rozproszyć tego rodzaju podejrzenia, jak przez przeprowadzenie śmiałego wypadu zmierzającego do usunięcia niebezpieczeństwa grożącego ze strony British Council polskiej niepodległości" — kończy Economist.

W perspektywie tygodnia

„Poprawki" w sojuszach

(r) Ogłoszona wymiana pism między min. Bevinem i generalissimusem Stalinem zamyka — jak zapewnia prasa angielska — samo zajście spowodowane artykułem „Prawdy", która usiłowała wmówić swym czytelnikom, że min. Bevin wyparł się sojuszu z Rosją zawartego w r. 1942. Co prawda, w dalszym ciągu „Prawda" upiera się, że miała słuszność, wysuwając całą tę sprawę na swoich łamach i że jej wykład polityczno-prawniczy był trafny, ale oczywiście dla oficjalnych sfer londyńskich miarodajne mogą być tylko oświadczenia generalissimusa Stalina, a nie „Prawdy", aczkolwiek jej oba wystąpienia dają dużo do myślenia. A generalissimus Stalin wyraźnie oświadczył, pisząc do min. Bevina, że „jest obecnie jasne, iż Pan i ja mamy ten sam punkt widzenia na traktat anglo-sowiecki".

Ale na tym sprawa się nie kończy. Bo tu zaczyna się dopiero nowy bardzo interesujący proces. Powołując się na oświadczenie rządu brytyjskiego, wyrażającego gotowość przedłużenia traktatu sojuszniczego na okres 50 lat, generalissimus Stalin oświadczył, że „przed przedłużeniem traktatu należałoby go zmienić, usuwając z niego zastrzeżenia, które go osłabiają".

Żądanie to wywołało nową sensację, gdyż nikt nie wie jeszcze, o jakie „zastrzeżenia" chodzi i do czego zmierzają aluzje generalissimusa Stalina. Prasa brytyjska zwróciła uwagę na art. 3 i 4 traktatu sojuszniczego.

Artykuł 3 stwierdza, że obie strony przyłączą się po wojnie do podobnie myślących państw celem ustanowienia systemu zbiorowego bezpieczeństwa, celem zabezpieczenia pokoju i przeciwstawienia się napaści. Do czasu wszakże ustanowienia takiego systemu Rosja i W. Brytania zobowiązują się podjąć wszelkie kroki, by uniemożliwić powtórzenie się napaści i pogwałcenie pokoju przez Niemcy lub jakiekolwiek państwo z nimi związane w ich czynach napastniczych w Europie (w czasie ubiegłej wojny). Art. 4 ustala niesienie sobie automatycznej pomocy orężnej w razie napaści na jednego z aliantów przez Niemcy lub inne państwo należące do „osi" i przewiduje, że artykuł ten pozostanie w mocy aż do chwili, gdy za obopólną zgodą będzie uznany za zastąpiony przez system zbiorowego bezpieczeństwa.

Pierwszych wyjaśnień nieporozumienia dyplomatycznego wywołanego przez artykuł „Prawdy" szukano w tym artykule 4 i twierdzono, że Moskwa chce zbadać tylko, czy w mniemaniu rządu brytyjskiego art. 4 traktatu przestał obowiązywać i czy został już zastąpiony przez art. 3, wskutek powstania Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Ale list generalissimusa Stalina wyraźnie mówi o potrzebie usunięcia z traktatu wszystkich słabych punktów celem jego wzmocnienia. W jakim kierunku? „Observer" przypuszcza, że należy tekst traktatu anglo-sowieckiego zestawić z tekstami traktatów przymierza, które Rosja zawarła ze swymi satelitami, nie wyłączając administracji warszawskiej. Traktat sojuszniczy „polsko-sowiecki" przewiduje więc, że obie strony „podejmą wspólnie wszystkie możliwe kroki celem usunięcia każdej groźby powtórzenia się napaści ze strony Niemiec lub każdego innego państwa, które chciałoby się połączyć z Niemcami bezpośrednio lub w jakiejkolwiek innej postaci". Traktat ma obowiązywać nawet wówczas, gdy Niemcy tylko „wznowią swą napastniczą politykę".

Zdaniem „Observera", traktat angielsko sowiecki jest czysto obronny, traktat „polsko-sowiecki" jest zaczepny i przewiduje nawet wojnę prewencyjną. Dodać tu należy nawiasowo i całkiem teoretycznie, że np. gdyby w Moskwie uznano że Stany Zjednoczone „bezpośrednio lub w jakiejkolwiek innej postaci" łączą się z Niemcami, których jednocześnie oskarży się o „wznawianie napastniczej polityki" (co nigdy trudne nie będzie), Polska zostanie wciągnięta w wojnę nie tylko z Niemcami, ale i ze Stanami Zjednoczonymi.

„Manchester Guardian" wysunął dwa przypuszczenia co do zamierzeń Moskwy w sprawie traktatu z Anglią: 1) Chodziło o uzyskanie tylko nowego zapewnienia Londynu co do znaczenia traktatu i dostosowania go do powojennych warunków. Rządowi sowieckiemu zależy na tym, by traktat obowiązywał nie tylko w stosunku do Niemiec i niezależnie od Organizacji Narodów Zjednoczonych i art. 43 jej karty. 2) Inni interpretatorzy łączą posunięcia rządu sowieckiego z rozwojem stosunków anglo-amerykańskich i anglo-francuskich. „To, czego Rosja pragnie, to powstrzymania wzrostu anglo-amerykańskiego braterstwa i zahamowania układu europejskiego powstającego pod wpływami anglo-francuskimi.

Ta ostatnia interpretacja wydaje się najwłaściwsza. Nie od dziś, ani od wczoraj Rosja zmierza oczywiście do rozerwania przyjaźni anglo-amerykańskiej. Jej zeszłoroczna taktyka doprowadziła do wzmocnienia współpracy w świecie anglosaskim. Prawdopodobnie zatem będzie podjęta próba zastosowania innej taktyki dla osiągnięcia tego samego: odciągnięcia W. Brytanii od Stanów Zjednoczonych, skoro nie udało się oderwać Stanów Zjednoczonych od W. Brytanii.

„Manchester Guardian" czyni uwagę, że niebawem wyjaśni się czy „Rosja zaproponuje warunki nie do przyjęcia dla nowego traktatu". A „Times" stwierdzał, że w rokowaniach anglo-sowieckich nie powstaną żadne wątpliwości, o ile „rewizja (traktatu) nie będzie taka, by czyniła anglo-sowiecki traktat niezgodny z kartą ONZ".

Z różnych względów jest zrozumiałe, że W. Brytania pragnie wyjaśnić swe stosunki z Rosją, ale trudno sobie wyobrazić, by czyniła to kosztem zobowiązań z tytułu należenia do ONZ a również kosztem swego braterstwa ze Stanami Zjednoczonymi.

Widmo głodu w Rosji

(r) Zarówno **„Observer" jak i „New Statesman and Nation"** widzą jednak główną przyczynę ostatnich „pokojowych" gestów Rosji i jej zwrotu w kierunku Anglii w trudnościach wewnętrznych, a zwłaszcza w katastrofalnym stanie rolnictwa.

„New Statesman and Nation" powołuje się na nowe Aleksandrowa, osobistości postawionej bardzo wysoko w hierarchii sowieckiej, który przyznał, że Rosja „przeżywa ogromny kryzys rolny, zwiększony fatalnym stanem zbiorów, zwłaszcza na Ukrainie".

„Observer" podaje więcej szczegółów, powołując się z kolei na roczne sprawozdanie Państwowej Komisji Planowania w Moskwie, wydane na początku tego roku. Sprawozdanie stwierdza po raz pierwszy następstwa suszy z roku 1946 jako „największej od lat 50". Obszary nawiedzone suszą rozciągają się od granic Rumunii, obejmują całą Ukrainę oraz ziemie na prawym brzegu dolnej Wołgi, a więc najbardziej żyzne tereny Rosji. Państwowa Komisja Planowania przyznaje, że „dotknięty obszar jest większy niż w roku 1921 i zbliża się do obszaru, nawiedzonego suszą w roku 1891".

Komisja Planowania zapewnia zresztą, że mimo to zbiory roku 1946 dały ogółem lepsze wyniki niż w roku 1921, dzięki dostawom zboża z Kazachstanu, z Zachodniej Syberii itd. Ale pamiętać należy, że w czasie głodu z r. 1921 wyginęły miliony ludzi, a ówczesny dyktator Lenin musiał odwołać się do znienawidzonego świata kapitalistycznego o pomoc. Co uczyni rząd obecny?

Oczywiście będzie można jeszcze więcej ziarna wycisnąć z kołchozów nie nawiedzonych suszą, będzie można jeszcze bardziej obniżyć racje chleba dla niedożywionej ludności miejskiej. Ale to wszystko nie wystarczy. Zdanie „Observera" może „uda się głód zlokalizować, ale nie uniknie się go całkowicie". Otóż głód w Rosji, której ludność i tak żyje w stałym niedostatku, pociągnąć może nieobliczalne następstwa.

Różne instytucje sowieckie nie ukrywają swych obaw. Nadzwyczajna Komisja powołana do narzucenia pełnej kolektywizacji ziemi, uskarżała się, że chłopi nad Dolną Wołgą nie chcą oddawać ziemi na budowę szos. „Prawda z dnia 18 stycznia br. uderzyła na alarm z powodu niebywałego spadku produkcji przemysłowej w pierwszych tygodniach tego roku na obszarach zagrożonych głodem, a więc w okręgu Dońskim, w okolicach Charkowa i Stalingradu.

„Observer" jest zdania, że na tle tych wydarzeń lepiej rozumie się stanowisko Rosji na terenie międzynarodowym.

„Olbrzymim wysiłkiem — pisze — Rosja pokazywała na zewnątrz oblicze z żelaza, co jej pozwoliło nie ustępować ani W. Brytanii, ani Ameryce i uzyskiwać pewne zdobycze i korzyści, których, gdyby jej słabość została odkryta, nigdy by pewnie nie otrzymała."

Czy „żelazne oblicze" Rosji obecnie złagodnieje? I na jak długo? Złagodniało ono w roku 1921, kiedy Lenin odwołał się o pomoc żywnościową do świata kapitalistycznego. Złagodniało ono w roku 1941, kiedy Hitler stał pod murami Moskwy, a Stalin wzywał świat Zachodni o pomoc orężną.

Gdy jednak niebezpieczeństwo mijało, Rosja sowiecka nakładała z powrotem „żelazną maskę" i zaczyna urągać mocarstwom „kapitalistycznym", które ratowały ją od zagłady. Co prawda, było to możliwe dzięki temu, że świat zachodni dawał pomoc nie wzamian nie żądając. W Moskwie spodziewają się zapewne, że tak gra uda się po raz trzeci.

Rosyjsko-amerykański pojedynek

W prosie ogłoszono, że generalissimus Stalin nie zgodził się na wymianę oficerów brytyjskich i sowieckich celem odbycia przez nich stażu w obu armiach sprzymierzonych. Jest to decyzja bardzo znamienna. Ale bardziej jeszcze charakterystyczne jest jej uzasadnienie. Zdaniem generalissimusa Stalina wymiany oficerów dokonywują tylko państwa, które przygotowują się do wojny. Wobec tego, że Rosja nie żywi zamiarów wojennych, nie pragnie ona wymiany oficerów. Ale wynika z tego, że W. Brytania i Stany Zjednoczone, które stosują u siebie system wzajemnej wymiany oficerów, przygotowują się... do wojny.

Widzimy z tego, że pojedynek amerykańsko-sowiecki trwa i przybiera nawet na ostrości. Ostatnio zanotować wypada dwa znamienne fakty. Oto p. Austin, przedstawiciel St. Zjednoczonych w ONZ, wystąpił z wezwaniem na rzecz powszechnej służby wojskowej w Ameryce, oświadczając, że świat „musi wiedzieć, że mamy za sobą wyćwiczonych ludzi". Służba powszechna, jago zdaniem, „wspiera całą nadbudowę pokoju". Zapowiedział on z góry, że Senat nie będzie ratyfikował żadnego układu w sprawie rozbrojenia, dopóki zbiorowe bezpieczeństwo nie będzie ustalone. P. Austin złożył te oświadczenia po rozmowie z prez. Trumanem, a przed tajnym posiedzeniem połączonych Komisji Spraw Wojskowych Senatu oraz Izby Deputowanych. A wywody swe zakończył twierdzeniem, że „jednostronne" rozbrojenie skończyło się ostatecznie.

Drugim ciekawym wydarzeniem było nowe wystąpienie p. Dullesa, o którego planach w zakresie polityki zagranicznej pisaliśmy w poprzednim numerze. P. Dulles staje się obecnie czołowym rzecznikiem Partii Republikańskiej, gdy chodzi o sprawy zagraniczne. Poprzednio wypowiedział się on na rzecz rozbicia Niemiec na państwa sfederowane oraz na rzecz zjednoczenia Europy. Obecnie poszedł dalej w swoich projektach wysuwając myśl, by Zagłębie Ruhry oddane było pod kontrolę ciała europejskiego „wybranego przez i odpowiedzialnego wobec zachodnich narodów europejskich".

Plany Dullesa bardzo zbliżają się do projektów francuskich. Rząd francuski opracował nawet projekt konstytucji nowych sfederowanych Niemiec z bardzo ograniczonym co do swych kompetencji rządem centralnym. Projekt francuski m. in. nie przewiduje centralnego parlamentu niemieckiego. Francja występowała również zawsze za umiędzynarodowieniem Zagłębia Ruhry. Różnica między jej dotychczasowymi projektami a planem p. Dullesa jest dość wymowna. Rząd francuski przewidywał, że w międzynarodowym zarządzie Zagłębia Ruhry zasiadać będzie również przedstawiciel Sowietów. P. Dulles wyobraża sobie, że w zarządzie tym zasiadać będą tylko przedstawiciele państw zachodnich, z czego wynika, że w tym planie dolina Renu ma stać się osią tak zwanej Europy Zachodniej.

Można sobie wyobrazić jak na ten projekt zareaguje Moskwa. Na konferencji zastępców ministrów spraw zagranicznych delegaci, pozostający pod jej wpływem, wypowiedzieli się przeciw rozbijaniu Niemiec na państwa sfederowane i za powołaniem centralnego rządu niemieckiego, rządzącego jednolitym państwem. Wynika z tego, że Rosja Sowiecka nie odstąpiła w sprawie Niemiec od swego planu. Pragnie ona powstania jednolitego państwa niemieckiego z rządem centralnym, na którego uzyskałaby wpływ przez partię komunistyczną. Wówczas oczywiście również wpływy Rosji rozciągnęłyby się aż po Ren.

W ten sposób dwa odmienne stanowiska na sprawę Niemiec zostały jasno zarysowane. Jesteśmy dopiero u początku pojedynku o Europę.

Czy strefa wolności w świecie ulegnie rozszerzeniu?

Amerykańskie koła polityczne, uchodzące za lewicowe, weszły w okres charakterystycznego kryzysu ideologicznego. Przyczyną tego przesilenia nie jest jednak zwycięstwo amerykańskiej prawicy, za którą można uważać Partię Republikańską. Powodem staje się stosunek do Rosji i do komunizmu. Pod tym względem to, co dzieje się na lewicy amerykańskiej, przypomina nieco procesy, jakie przeżywają niektóre partie socjalistyczne w Europie, a czego wyrazem stał się ostatnio rozłam we włoskiej partii socjalistycznej. Czy komunizm należy uważać za przejaw „nowej demokracji", czy też za wyraz czerwonego faszyzmu? Oto pytanie — które wywołuje w tych kołach głównie intelektualnych duże zamieszanie.

Bezpośrednim powodem kryzysu na lewicy amerykańskiej stało się wystąpienie p. Henry Wallace'a i jego atak na politykę zagraniczną rządu amerykańskiego jako zbyt antysowiecką. Aczkolwiek p. Wallace, który został po swej napaści na p. Byrnesa zmuszony do ustąpienia z rządu, zapowiedział początkowo, że zwalcza wszystkie imperializmy, amerykański, brytyjski czy rosyjski, aczkolwiek stawiał on w zasadzie na tej samej płaszczyźnie faszyzm i komunizm, akcję jego natychmiast podchwyciła propaganda moskiewska i p. Wallace znalazł w Ameryce poparcie przede wszystkim w kołach komunistycznych, lub prosowieckich.

Bez większego ze swej strony oporu, jak stwierdzał D. W. Brogan na łamach „Observera" pozwalał się on spychać coraz bardziej w kierunku sojuszu z komunistami i z takimi organizacjami przez nich popieranymi, jak „Narodowy Komitet Obywateli dla Akcji Politycznej", „Niezależny Komitet Obywateli dla Sztuki, Nauki i Zawodów", lub wreszcie przez „Postępowych Obywateli Ameryki". To są koła, które na razie mogą stać się jedynie podstawą „trzeciego stronnictwa", tworzonego podobno przez p. Wallace'a. Działalność jego nie zdołała bowiem wyrządzić większych szczerb w Partii Demokratycznej, ani też nie spotkała się nigdzie z poparciem masowym, z wyjątkiem dzielnicy Manhattan w Nowym Yorku, zamieszkałej w dużej mierze przez murzynów. Stan Iowa skąd pochodzi p. Wallace pozostał twardo przy Partii Republikańskiej.

Rozpoczęła się zresztą reakcja. P. Eleonora Roosevelt, wdowa po Prezydencie, jak i były minister za prezydentury Roosevelta, Ickes, odcięli się zdecydowanie od akcji Wallace'a i od wszelkich wystąpień, zabarwionych sympatiami dla komunizmu. Rozpoczęła się również dość burzliwa opozycja na skrajnej lewicy pod wymownym hasłem: „Stalinizm to opium dla intelektualistów". Opozycja ta występuje w obronie indywidualnej wolności, uważa komunizm za odmianę totalizmu a wszystkich zwolenników leninizmu-stalinizmu za świadomych, lub nieświadomych zdrajców demokracji.

Ostatnio z kół tych wystosowano orędzie do p. Bevina, pełne uznania dla rządu brytyjskiego za jego nieugiętą walkę „o wolność indywidualną, sprawiedliwość społeczną i niepodległość narodową na świecie". Orędzie występowało ostro przeciw nieuzasadnionej krytyce, z którą rząd brytyjski spotyka się w Ameryce „na prawicy i na lewicy". Podpisani pod odezwą wyrażali niezadowolenie zarówno ze stanowiska p. Wallace'a jak i pp. Crossmana i Zilliacusa, przywódców opozycji w łonie Partii Pracy wobec polityki p. Bevina.

„Wszyscy oni, stwierdzało orędzie, żądają niezależnej polityki, która by pozwoliła W. Brytanii pośredniczyć między Rosją a Stanami Zjednoczonymi, a Stanom Zjednoczonym między Rosją a W. Brytanią. Ścisła współpraca dwu anglosaskich narodów musi być, jak oni twierdzą, złamana. Grupa Wallace'a głośno piętnuje brytyjski imperializm, natomiast „buntownicy w Partii Pracy" potępiają imperializm amerykański.

„Powinien Pan wiedzieć, że poparcie dla stanowiska p. Wallace'a w polityce zagranicznej udzielana jest przez niewielką mniejszość komunistyczną, przez kilku jego popleczników i tych, których tu nazywamy „totalitarnymi liberałami". Sporo osób z osi Wallace-Zilliacus po obu stronach Atlantyku jest nieświadomych i niewinnych. Lecz ci, którzy udzielają natchnienia tej osi wiedzą, co czynią. Są oni nie tyle anty-brytyjscy, czy anty-amerykańscy co przede wszystkim prorosyjscy. Czynniki te chciałyby osiągnąć powrót do tej polityki anglo-amerykańskiej ustępstw i odwrotów, która oddała już połowę Europy i znaczną część Północnej Azji pod panowanie Sowietów, gdy **natomiast naszym prawdziwym zadaniem jest nie tylko zatrzymanie tego odwrotu, lecz i rozszerzenie strefy wolności."**

Pod orędziem znajdują się podpisy szeregu osobistości, z panem Adolfem Berle, byłym wiceministrem spraw zagranicznych na czele.

Istotnie zagadnienie światowe polega na tym, czy strefa wolności na kuli ziemskiej będzie się rozszerzała, czy też kurczyła, jak to się stało już w wyniku ostatniej wojny.

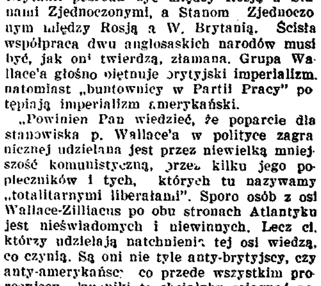

S. p. Józef Hachlica, prezes koła PSL Kraków-Prokocim, zamordowany przez „nieznanych sprawców" z bezpieki w dniu 22.X.1946, w kilka dni po przemówieniu na pogrzebie zamordowanych przez bojówki pepeerowskie członków PSL: Pawła Sikory i Józefa Bunty oraz członka PPS Jana Jani.

Czystka antykomunistyczna w Ameryce

W Izbie Reprezentantów Stanów Zjednoczonych odbyło się burzliwe posiedzenie poświęcone przenikaniu komunistów do życia amerykańskiego. Komisja dla badania Działań Antyamerykańskich wystąpiła ze sprawozdaniem, które między innymi wskazywała na istnienie „ściganych komunistów" w Departamencie Stanu i w innych ministerstwach. Poseł John McCormack, przywódca demokratów, nawoływał do rozpoczęcia ostrej walki przeciwko temu, co nazwał „falą komunizmu", która, jego zdaniem, zmierza do zniszczenia Stanów Zjednoczonych i wszystkich innych demokracji i ma na względzie „przyszłe wojskowe plany Związku Sowieckiego".

Z jeszcze gwałtowniejszym i wymowniejszym przemówieniem wystąpił poseł John Rankin, również demokrata, który złożył petycję na papierze długości około 30 m., a zapełnioną tysiącami podpisów obywateli z Kalifornii, domagającą się w szczególności usunięcia wpływów komunistycznych z Hollywoodu. Wnioskodawca wzywał rząd do wyrzucenia komunistów z życia publicznego z kina i z radia.

Kilku posłów republikańskich zwróciło się w szczególności do gen. Marshalla, by zrobił „porządek w swoim domu" tzn. oczyścił Sekretariat Stanu. Jeden z mówców twierdził, że w Departamencie Stanu 53 urzędników jest podejrzanych.

Jest to jeszcze jeden wyraz zmiany nastrojów, która zaznacza się w Ameryce.

ANGIELSKA REWOLUCJA I AMERYKAŃSKA KONTRREWOLUCJA

St. Starzewski

Londyn, w styczniu

W. Brytania przyżywa którąś tam z kolei rewolucję. Przemiany społeczne sięgają głęboko. Ministrowie socjalistycznego rządu przebudowują gmach Imperium z niespodziewanie wielkim rozmachem. I raz po raz wychodzą oni z Parlamentu z ustawami nacjonalizującymi poszczególne dziedziny życia gospodarczego, uchwalone „bile" wprowadzane są w życie punktualnie w przewidzianych ustawą terminach.

1 stycznia 1947 roku nad najstarszymi na świecie kopalniami węgla zawisły flagi Państwowego Urzędu Kopalni. W dniu tym odbył się uroczysty akt przejęcia angielskich kopalń węglowych przez państwo. Przygotowywana jest nacjonalizacja transportu i reforma handlu ziemią. W ten sposób, na drodze parlamentarnych aktów „stare, obciążone tradycją" społeczeństwo angielskie rewolucjonizuje się w żywym tempie. I odbywa się to wszystko w atmosferze nieustającej pracy, bez parad i marszów triumfalnych, bez pompy i szumu tak nieodłącznego od rewolucji kontynentu europejskiego. Owszem, z okazji upaństwowienia kopalń węglowych wygłoszono przemówienia, grały orkiestry i odbyły się zabawy, ale — by nie tracić dnia roboczego — przełożono to wszystko na najbliższą po pierwszym stycznia niedzielę.

Wywieszanie flagi na kopalni w Derbyshire

Składano sobie również życzenia przy tej okazji, ale niemal wszystkie brzmiały jak ten oto telegram p. Ebby Edwarda, członka Rady Węglowej: „Wszystkie oczy muszą być zwrócone na wysiłek niezbędny dla zapewnienia sukcesu tego eksperymentu. Sedno leży w tym, aby nacjonalizacja stała się sukcesem ekonomicznym, co jest o wiele trudniejsze do osiągnięcia, niż zwycięstwo polityczne". W sytuacji angielskiej tym bardziej trudne, że każde, chociażby tylko bardzo krótkoterminowe osłabienie ekonomicznego wysiłku W. Brytanii, godzi i w tak już osłabioną jej pozycję imperialną.

Przebudowując Anglię na zasadach socjalistycznych, rząd Partii Pracy bynajmniej nie chce się czegokolwiek wyrzec z dotychczasowych pozycji Imperium Brytyjskiego. Przeciwnie, chce on cały ten gmach utrzymać i odnowić, wymieniwszy pod nim fundamenty. Ta ambicja nadaje jeszcze głębszy sens rewolucji angielskiej, rozszerza jej granice daleko poza Wyspy i w zasięg swój wciąga wszystkie ludy Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Socjaliści angielscy mają wielką ambicję stworzenia ze swojego kraju ośrodka rewolucji socjalistycznej, ogniskującego dokoła siebie takie same usiłowania przebudowy społecznej wśród innych narodów. Rozumieją oni całkiem słusznie, że zagadnienie naszej epoki polega nie tyle na stworzeniu równowagi wśród wielkich mocarstw, co na odtworzeniu spowrotem na Zachodzie ośrodka postępu ekonomicznego i rewolucji myśli.

REWOLUCJA W ANGLII I SPRAWA WOLNOŚCI

Angielski ruch rewolucyjny wciągnął w swoje nurty bardzo szerokie warstwy społeczne i wywołał reakcje silniejsze, niżby to wynikało z przebiegu chociażby samych tylko debat parlamentarnych nad taką czy inną ustawą upaństwawiającą. Nie samo zresztą upaństwowienie życia gospodarczego wywołuje sprzeciwy. Ta walka została przez socjalizm angielski wygrana właściwie już w okresie wojny — ludzie już dawno z tym faktem się pogodzili. Przedmiotem sporu i głównym zagadnieniem, od którego rozwiązania zależeć będzie ostateczny charakter tej przyszłej epoki, na którą czekamy, jest znalezienie nowej interpretacji takich starych słów, jak „wolność", „tolerancja" i „prawo mniejszości". Publicyści angielscy zwracają uwagę, iż słowo „wolność" stało się przedmiotem rozmów angielskich w rozmiarach niespotykanym w tym kraju od 300 lat, a słowo „tolerancja", używane dziś nie w sensie tolerancji religijnej, lecz w zastosowaniu do zjawisk politycznych i do mniejszości narodowych stało się znowu bardzo żywe i aktualne.

Do takiego zainteresowania się tymi starymi słowami zmusiła Anglików nie wojna z totalizmem niemieckim, lecz naprawdę dopiero ich własna wewnętrzna rewolucja, ich powojenne dobrowolne skrępowanie się. Rozumiejąc potrzebę tego skrępowania się, nie chcą oni jednak dopuścić do tego, by przemieniło się ono w niewolę, by nie zapuściło zbyt głębokich korzeni, których późniejsze wyrywanie przemocą połączone byłoby kto wie, czy z nie o wiele większym cierpieniem niż dzisiejsze dolegliwości. „Jest oczywiste dla wszystkich Anglików — pisał p. Charles Morgan — konserwatystów, liberałów czy też socjalistów, iż pewne fundamentalne zagadnienia z dziedziny teorii polityki, które z pasją były dyskutowane w wieku XVII i XVIII i zdawały się już być rozwiązane przy końcu wieku XIX, stały się znowu aktualnymi. Znowu stał się aktualny stosunek rządu do parlamentu, przerost władzy i wykorzystywanie państwowego monopolu gospodarczego nie dla celów ekonomicznych, lecz dla „zrujnowania pewnych odłamów społeczeństwa i pozbawienia ich w ten sposób praw mniejszości".

Jak więc dziś w społeczeństwie dojrzałym i wysoko uprzemysłowionym pogodzić niewątpliwie i powszechnie uznawaną potrzebę kontroli gospodarczej z wolnością osobistą? Oczywiście, nie można tego zagadnienia rozwiązać metodami z okresu np. rewolucji angielskiej 1688 roku. Więc jak?

Dokoła tych wszystkich spraw i zagadnień toczy się w brytyjskim społeczeństwie żywa dyskusja, powstają ruchy myślowe, szukające dróg wyjścia i rozwiązań.

REWOLUCJA W OPARCIU O WŁASNĄ TRADYCJĘ

Jeśli dotychczasowe nasze teorie polityczne trzeba inaczej ująć, nadać im nowe interpretacje — rozumują Anglicy — to przede wszystkim trzeba sobie przypomnieć całą historię powstania tych teorii. Nie są one bowiem czystą spekulacją filozoficzną, lecz wyrosły z posiewu krwi i żyć ludzkich, są więc częścią, i to wielką częścią historii angielskiej. Czyż potrzeba w nowym żywym cyklu na oślep powstarzać historię, czy też lepiej wczuć się w ducha dawnych przemian i doświadczeń, odsłonić stare korzenie i z nich w nowej rzeczywistości naszego wieku wyhodować to samo, a jednak inne drzewo wolności?

Stare korzenie angielskiej myśli politycznej to Hobbes, Locke i J. S. Mill, wszyscy trzej „made in England" na długo przed pojawieniem się „marksistowskiego objawienia".

Hobbes i Locke pisali w okresie angielskiej wojny domowej i przewlekłej rewolucji, która w roku 1689 osiągnęła swój punkt kulminacyjny; J. St. Mill natomiast ogłaszał swoje dzieła w epoce wiktoriańskiego dobrobytu w czasie rozwijania się z jednej strony parlamentarnej demokracji, z drugiej zaś strony przemysłowego socjalizmu. I mimo, że wszyscy trzej należą do tak odległych epok historycznych, to jednak właśnie teraz, w tym czasie, gdy nad kopalniami powiewają flagi z okazji ich upaństwowienia, oksfordzka firma Basil Blackwell, wypuściła na rynek księgarski ich dzieła z zakresu teorii państwa i polityki.

„Historyczna ciekawość — tłumaczą wydawcy — nie jest jedynym powodem dla studiowania myślicieli przeszłości; trzeba ich czytać i pod kątem widzenia wieczności..."

„Być może, iż Anglia rzeczywiście obecnie potrzebuje drugiego Hobbes'a — zauważa krytyk z „The Times Literatury Supplement" — nie autora nowego „Lewiatana" (tytuł dzieła Hobbes'a — przyp. red. „O. B."), lecz zdolnego politycznego filozofa, który, zastanawiając się również głęboko jak Hobbes nad ludzką naturą objawiającą swe właściwości w ciężkich czasach, mógłby wykazać logiczne związki pomiędzy życiem politycznym i potrzebami ludzkiej natury".

Jak widać z tych uwag, dzieło oxfordzkiego wydawcy nie zostało pomyślane jako oderwane od życia i bieżących rewolucyjnych przemian. Dlatego jest ono jednym z ogniw tej rewolucji i dowodem jej rozpiętości, a zarazem i samodzielności w poszukiwaniu rozwiązania najlepiej Anglii odpowiadającego.

KRYTYKA W AMERYCE

Coprawda na zewnątrz większe wrażenie robią „bille" upaństwawiające przemysł i cała przebudowa Imperium, aniżeli te próby znalezienia nowego filozoficznego pogodzenia potrzeb natury ludzkiej z życiem politycznym. Nie wszędzie na świecie ten reformizm socjalistyczny budzi entuzjazm i nie przez wszystkich uważany jest za samodzielny. Tak np. amerykański senator Ernie Adamson, prezes „Komisji do badania działań antyamerykańskich", w sprawozdaniu swoim zaznaczył, że przeważna część Europy uległa już „lewemu totalizmowi" i że Anglia znajduje się również „na tej drodze", co sprawia, że St. Zjednoczone stają się główną barierą przed naciskiem „czerwonego totalizmu".

Oczywiście p. Adamson patrzy bardzo sceptycznie na rewolucyjne przemiany w Anglii. Ale znowu w Anglii mówią o kontrrewolucji w Stanach Zjednoczonych.

Nie dla odpowiedzi senatorowi Adamsonowi jeden z najpoważniejszych angielskich kwartalników politycznych, i to nie socjalistyczny, zatytułował swoje głębokie rozważania na temat rozwoju sytuacji wewnętrznej w St. Zjednoczonych: „Kontrrewolucja amerykańska". Czytając jednak prasę przychodzącą tutaj z przeciwnego brzegu Atlantyku i przysłuchując się londyńskim dyskusjom w łonie Labour Party na temat stosunku W. Brytanii do St. Zjednoczonych, trudno chwilami istotnie oprzeć się wrażeniu, iż na amerykańskim kontynencie, w przeciwieństwie do Anglii, „święci triumfy kontrrewolucja". I to nie tylko dlatego, że Ameryka przechodzi spowrotem ze stanu wojennej gospodarki kontrolowanej do indywidualnej przedsiębiorczości, uważanej przez „planistów" za główne źródło społecznych fermentów.

Widmo „skrajnej reakcji" i „białej kontrrewolucji" w Ameryce, to przede wszystkim p. Robert Mc Cormick, przywódca Republikanów w odgrywającym dużą rolę w czasie wyborów Stanie Illinois. P. Cormick, jak wszyscy Amerykanie irlandzkiego pochodzenia, nie lubi Anglików. Jest zawziętym ksenofobem i jeszcze bardziej zawziętym izolacjonistą. Senatora Vanderbenga nazywa zdrajcą ojczyzny i twierdzi, że większość jego partyjnych kolegów, republikanów ze wschodnich stanów, została przekupiona „brytyjskim złotem". Jest on równocześnie zawziętym wrogiem i Moskwy. Jego technicznie bardzo nowoczesna prasa codzienna wsącza w miliony umysłów amerykańskich najczarniejsze doktryny społeczne i najskrajniejszy izolacjonizm. Na jego wyobraźnię nie podziałała ani groza bomby atomowej, ani niebezpieczeństwo rakietowej broni.

Ale mało jest nadziei, by ta grupa starego typu „imperialistów-izolacjonistów" zagrała pierwsze skrzypce w nadchodzącej epoce republikańskich rządów. Mimo wszystko „Cormick and Co" to przeszłość, która nie może powrócić. Stronnictwo republikańskie, tak samo zresztą jak demokratyczne, to szeroki wachlarz indywidualności i poglądów, to także Harold L. Stassen, zwolennik „Nowego Ładu" i „światowego rządu" oraz bardzo umiarkowany izolacjonista Taft. Bo też o Mc Cormicka typu kotrrewolucję chodzi tutaj.

A JEDNAK TO SAMO ZAGADNIENIE

Obecna kontrrewolucja amerykańska zaczęła się już od roku 1938, w tym bowiem roku zahamowana została działalność rooseveltowskiego „Nowego Ładu", i od tego roku począwszy Roosevelt miał na tle ustawodawstwa społecznego poważne kłopoty.

Postępowe ustawodawstwo w St. Zjednoczonych — tłumaczą Amerykanie — wprowadzane jest w życie cyklami. Pomyślnymi dla tego ustawodawstwa są lata kryzysów, natomiast przypływ koniunktury oraz potrzeba przetrawienie wielkiej ilości nowych ustaw przez organizm gospodarczy powodują zahamowanie tych reform. Wynika z tego, że tzw. kontrrewolucja amerykańska jest po prostu wynikiem ekonomicznego determinizmu, czy też fatalizmu.

Ale taki cykl przemian społecznych nie da się pogodzić z nową pozycją Stanów Zjednoczonych w świecie. Wahania społeczne i wewnętrzne zaburzenia w tym z największych mocarstw osłabiają jego prestiż państwowy i pociągają za sobą analogiczne wahania w pozostałym świecie. Wskutek tego stają Amerykanie wobec tego samego problematu co i Brytyjczycy. Jak dziś w społeczeństwie dojrzałym i wysoko uprzemysłowionym pogodzić prawo wolności osobistej z koniecznościami organizacji społecznej i państwowej. Dla Amerykanów zagadnienie to urasta do gigantycznych wprost rozmiarów i z tego powodu, że owładnęli oni faktyczną, nieznaną w dziejach ludzkości siłą. Z tym drugim zagadnieniem łączy się zagadnienie międzynarodowej moralności, wierności zasadom demokratycznym w rozwiązywaniu trudności międzynarodowych.

SZUKANIE NOWEJ IDEOLOGII AMERYKAŃSKIEJ

Jak widzieliśmy w pierwszej części artykułu, Brytyjczycy w takich ciężkich chwilach zdobywają się na wydawnictwa starych filozofów i myślicieli, odświeżają historyczne procesy, które doprowadziły ich naród do niezwykłej pozycji wśród innych narodów świata. Amerykanie natomiast znalazłszy się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji, usiłują stworzyć odpowiadającą tej nowej sytuacji nową własną ideologię.

Najciekawsza jest niewątpliwie bardzo bogata już dzisiaj literatura amerykańska na tematy atomowe. Uświadamia ona Amerykanom nie tylko grozę wojny atomowej, ale przede wszystkim ich własną potęgę. W związku z tematem niniejszego artykułu bardziej interesującymi są rozważania tych publicystów amerykańskich, którzy wyciągają tej uprzywilejowanej pozycji St. Zjednoczonych socjalne i polityczne wnioski.

P. Babson, jeden z kandydatów na Prezydenta w wyborach 1940 roku, w książce swojej „Patrząc 50 lat naprzód" („Looking ahaed 50 years", New York, 1945) dochodzi do wniosku, że „ naród chce bardziej bezpieczeństwa, aniżeli wolności. Izolacjonizm oznacza upadek gospodarstwa, kościoła, narodu..."

Nie ulega wątpliwości, że izolacjonizm został uznany w St. Zjednoczonych za doktrynę hamującą gospodarczą ekspansję St. Zjednoczonych. I to jest najbardziej rewolucyjne zjawisko w amerykańskiej kontrrewolucji. Znaczenie tego faktu dla samych St. Zjednoczonych i dla całego świata podkreślił najmocniej jeszcze w 1941 roku Henry Lewis w artykule pt. „Amerykański Wiek", wydrukowanym na łamach **„Life'u"**. Zwalczając izolacjonizm, Lewis tłumaczył swoim rodakom, że oswobodziwszy się od „mikroba izolacjonizmu" staną się panami świata i wycisną swoje piętno na ekonomii, polityce i kulturze całego świata. A M. Spykman (znany geopolityk amerykański) w książce pt. „Amerykańska strategia w światopoglądowej polityce" („American's Strategy in World Politics") doszedł do wniosku, że całe cywilizowane życie opiera się w ostatecznym rachunku na sile i że tylko siłą można osiągnąć cele zewnętrznej polityki...

Z okazji ostatniego strajku w Londynie **„Washington Post"** mszcząc się za krytykowanie przez socjalistyczną angielską prasę, z okazji ostatniego strajku węglowego i sprawy Lewisa, amerykańskiego systemu gospodarczego i państwowego, z nieukrywaną satysfakcją napisał, iż stolicy W. Brytanii przed dzikim strajkiem kierowców i tragarzy nie zdołał uratować rząd socjalistyczny i polityka nacjonalizacji życia gospodarczego. Na czymże polega wyższość waszego ustroju nad naszym liberalnym? — pytało pismo amerykańskie.

Nie w tym jednak pytaniu streszcza się sens rewolucyjno-kontrrewolucyjnej rozbieżności w świecie anglosaskim. Istota zagadnienia leży w fakcie przesunięcia się ośrodka siły w tym świecie ze wschodnich wybrzeży Atlantyku na jego zachodni amerykański brzeg. „Rewolucja angielska" broni angielskiego stanu posiadania, gdy tymczasem „amerykańska kontrrewolucja" w oparciu o gigantyczną siłę i bogactwa mobilizuje swój naród do niespotykanej w historii ludzkości ekspansji. Więc paradoks?

Uroczystość przekazywania kopalni w ministerstwie materiałów pędnych i energii w obecności członków rządu z premierem Attlee na czele

Tak, paradoks, tym większy, że „rewolucja" z „kontrrewolucją" zawierają równocześnie „dżentelmeńskie nakty" i porozumienia. Ale raczej należy tutaj mówić o wielkiej rozpiętości ideologicznej w świecie anglosaskim. W tej rozpiętości tkwi siła i żywotność naszej cywilizacji i nic bardziej jej nie odróżnia, jak właśnie ta rozpiętość od monotonii ideologicznej totalitarnego Wschodu.

Kraj imigracji

Paryż, w styczniu

Brak ludzi, brak rąk do pracy powszechny jest w całej północno-zachodniej Europie, ale nigdzie nie występuje tak dramatycznie i nie jest tak palący, jak właśnie we Francji.

„Francji — oświadczył de Gaulle wkrótce po jej wyzwoleniu — brak jest ludzi i ta straszna luka daje się odczuwać zarówno co do ilości, jak i jakości... Uważamy ją za największą przyczynę naszych nieszczęść i jako główną przeszkodę w naszym odbudowywaniu się. Jeśli naród francuski nie będzie się rozmnażał, w jakikolwiek sposób organizowalibyśmy naszą pracę narodową, nasz przychód społeczny, nasz ustrój polityczny, nawet nasze bezpieczeństwo, Francja nie pozostanie niczym więcej, jak wielkim światłem, które gaśnie."

Postępujący spadek liczby urodzin we Francji znany jest powszechnie, ale skutki jego najsilniej właśnie występują obecnie, najdotkliwiej spadają na współczesne pokolenie i dalsze utrzymanie się tego procesu groziłoby po prostu katastrofą.

Już przed pierwszą wojną odsetek urodzin spadł we Francji do 19 pro mille, a więc poniżej krytycznego punktu, ocenianego jako niezbędny dla regeneracji pokoleń. W przededniu ostatniej wojny wynosił on tylko 15 pro mille, a w roku 1941 doszedł do najniższej dotychczas cyfry 13 pro mille. W tym trzecim roku wojny nadwyżka zgonów nad urodzeniami wynosiła 125.000.

Przyczyny tego postępującego spadku wielokrotnie były już omawiane. Zestawiając je demografowie francuscy zgodni są jednak, że nie leżą one ani w osłabieniu rasy, ani w niedostatecznej ilości małżeństw. Ilość tych ostatnich większa jest we Francji niż w krajach sąsiednich. Życie rodzinne jest tu bardzo pielęgnowane. Rodzina jest zwarta i zamknięta, nie uczucia macierzyńskie przeważnie koncentrują się na jednym, dwu dzieciach, co nie zapewnia reprodukcyjności pokoleń.

Jest rzeczą wiadomą, że w okolicach, w których religijność jest większa jak np. w Normandii, Bretonii, Ardenach, czy we wschodniej Francji liczba urodzin jest wyższa, niż w pozostałych częściach kraju. A więc, zdaniem ich, najważniejszą rolę w tym zagadnieniu demograficznym odgrywa czynnik woli, a nie inne przyczyny.

Atmosfera drugiej połowy XIX i początków, w XX wieku, jaką wnosiła panująca klasa burżuazji z jej dążeniem do osiągnięcia maximum wygody dla jednostki obojga płci, z jej przywiązaniem do pieniądza, duchem oszczędności, łączącym się z chęcią użycia oraz programem pozostawienia jak największego spadku, skupionego w jednym ręku, przeważała jednak we Francji, skłaniając do wyzbywania się kłopotów, które może przynieść większa ilość dzieci. I ta atmosfera przenosiła się i na inne warstwy. Oczywiście, że w warstwie robotniczej czy inteligencji pracującej dużą rolę odegrało równoczesne zatrudnianie kobiet, dyktowane chęcią utrzymania budżetu rodzinnego na odpowiednim poziomie.

W rezultacie głównym rezerwuarem ludzkim pozostawała wieś francuska, ale i tam obawa podziału spadku skłaniała do ograniczania liczby dzieci.

Nie bez znaczenia było przywiązanie we wszystkich warstwach do stosunkowo wysokiej stopy życiowej. Już przed wojną stwierdzano, że różnica między cenami i zarobkami powodowała, że dochody rodziny składającej się z trojga dzieci nie pokrywały tzw. „potrzeb życiowych". Cóż mówić dziś, gdy rozpiętość między cenami i zarobkami podniosła się tak znacznie.

To ograniczanie się do jednego, a najwyżej dwojga dzieci, jeśli weźmie się pod uwagę małżeństwa bezdzietne i niezaślubionych powodowało, że odsetek siły reprodukcyjnej spadł do 86%, a więc ustępujące pokolenia nie mają swych następców.

Toteż jeśli do wybuchu ostatniej wojny Francja utrzymywała się przy 41 milionach ludności, to zawdzięczała to ona zmniejszaniu się śmiertelności (do 15 pro mille), a więc przedłużaniu przeciętnej życia jednostki. Przedłużanie przeciętnej wieku jednostki przy małej liczbie urodzeń powoduje jednak proporcjonalne wzrastanie w społeczeństwie liczby ludzi starych. Francja starzeje się. To jest powodem, że tylko połowa jej ludności jest aktywna gospodarczo i że dla utrzymania swego życia gospodarczego potrzebowała i potrzebuje nadal dopływu z zewnątrz.

Oceniając poszczególne czynniki, które wpłynęły na przyrost ludności w latach 1800 — 1936 demograf francuski A. Landry szacuje, że w okresie tych 136 lat Francja:

na skutek spadku urodzeń i niezdolności reprodukcyjnej straciła	— 5.000.000
dzięki przedłużeniu przeciętnej życia jednostki z 37 na 57 lat **zyskała**	+ 16.000.000
w wojnie 1914-1918 straciła	— 3.000.000
imigracja dała jej natomiast	+ 5.000.000

To zestawienie charakteryzuje najlepiej rolę, jaką emigracja z innych krajów odegrała w przedwojennym życiu Francji. Ale dziś potrzebuje ona znowu świeżego dopływu.

Oto wojna 1916—1918, której skutki obecnie najsilniej się odczuwa pochłonęła 1.400.000 młodych mężczyzn, a więc najbardziej płodnych. Ubytek mężczyzn spowodował, jak szacują, nieurodzenie się 1.600.000 dzieci, a więc ogólną stratę 3.000.000 ludzi, którzy mając dziś 32 — 60 lat, mogliby stać przy warsztatach pracy, którzy mogliby dać Francji nowe pokolenia.

W wojnie 1939 do 1945 na polach bitew, w obozach jeńców, w obozach koncentracyjnych i deportowanych, wewnątrz kraju na skutek rozstrzeliwań i bombardowań zginęło 1.500.000 ludzi. Straty w braku urodzin szacuje się na 300.000. Jest to nowa wyrwa w życiu Francji zarówno obecnym, jak i w jej dalszym rozwoju.

Liczba ludności, która w 1939 r. wynosiła 41.126.000 spadła na początku 1946 r. do 39.700.000. A spadek ten może mieć charakter progresywny.

Jeśli odsetek śmiertelności i urodzin utrzymałby się bowiem na poziomie przedwojennym, to nie licząc skutków wojny ludność Francji zmniejszałaby się bardzo poważnie, za 10 lat o 1.000.000, za 25 o 2.000.000, za 40 o prawie 6.000.000. Biorąc pod uwagę skutki ostatniej wojny przy utrzymaniu dotychczasowego odsetka śmiertelności i urodzin spadek ten byłby jeszcze bardziej raptowny. Któż zaś może zagwarantować, że tendencja obniżki śmiertelności, ale i równoczesnej obniżki urodzeń nie będzie postępować, grożąc po prostu katastrofą.

Oczywiście, że wola ludności może zahamować ten proces. Świadomość niebezpieczeństwa, grożącego Francji jest dziś wielka, szczególnie w warstwach inteligencji. Wysiłek i nacisk, jaki kładzie się na dalszą walkę ze śmiertelnością niemowląt i ludzi młodych, z gruźlicą i alkoholizmem, z brakiem mieszkań, przerywaniem ciąży może odnieść swe skutki. Szeroka propaganda, robiona już w czasie okupacji spowodowała, że w ostatnich latach wojny odsetek urodzeń wzrósł poważnie, bo do 16 pro mille w r. 1944, a po wojnie w marcu 1946 r. było nawet 20 pro mille.

Ale nawet optymiści, którzy oceniają, że możliwe jest podniesienie ilości urodzeń z 600.000 rocznie przed wojną na 725.000 stwierdzają, że ustabilizowanie się ludności Francji na poziomie przedwojennym wymagać będzie wiele lat. Aby w tym czasie wyrównać dotychczasowy ubytek oraz wielką nieproduktywność starców uważają oni, że konieczne jest w ciągu najbliższych kilku lat wprowadzenie do Francji do 1.500.000 imigrantów od lat 26 — 35 z odpowiednią liczbą kobiet, a ponadto 1.400.000 dzieci w wieku poniżej lat 15. Bezdzietna bowiem emigracja spowoduje znów za kilka lat konieczność sprowadzenia nowego dopływu imigrantów. Razem więc w ciągu najbliższych lat Francja musi sprowadzić około 3.000.0000 obcej ludności.

Ponieważ obecnie znajduje się we Francji około 2.000.000 emigrantów nie posiadających jeszcze obywatelstwa francuskiego, staje przed nią zagadnienie ułożenia sobie współżycia z 5.000.000-ową masą obcokrajowców, która stanowić będzie około 1/8 mieszkańców Francji. Takie są konieczności demograficzne.

Natomiast tempo, z jakim Francja może przyjmować do siebie nową emigrację zależne jest od potrzeb i możliwości życia gospodarczego. Współzależność jest obopólna, odbudowa jego potrzebuje rąk do pracy, ale miejsce dla większej ich ilości może dać dopiero rozwój życia gospodarczego. Skoro jednak Francja wypracowała już swój plan czteroletniej odbudowy, zapotrzebowanie na masową emigrację jest już obecnie aktualne.

Witold Stodolnicki

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

STRAJK ROBOTNIKÓW TRANSPORTOWYCH

Strajk robotników transportowych w W. Brytanii jest już zakończony i począwszy od soboty 18 stycznia dowóz żywności do Londynu, który w ostatnich dniach strajku przejęło wojsko, odbywa się już normalnie.

Robotnicy zatrudnieni w transporcie wysunęli parę skromnych żądań. Najważniejsze wśród nich, to 44 godzinny dzień pracy i 14 dni w roku płatnego urlopu. Ktokolwiek ma zdrowy sens i umiejętność w osiągnięciu kompromisu mieszkańców Wysp Brytyjskich, dziwi się, że doszło aż do tak ostrego zatargu.

Rzecz jest w tym, że sprawa toczyła się przez dziesięć miesięcy. Aparat porozumiewawczy jest tak ciężki, że nie zdołał jej załatwić. Któż bowiem nie musi tych spraw opinlować!

Najprzód więc Związki Zawodowe z poszczególnymi gałęziami pracy. Większość robotników i to ogromna należy do tych związków i były niedawno usiłowania odebrania członków mniejszych związków, albo dzikim prawa pracy (tzw. „zamknięty warsztat") po drugiej stronie są branżowe związki pracodawców. Nad nimi stoi ministerstwo pracy ze swoimi inspektorami i parlament. Unia Związków Zawodowych rozrosła się w potężną i ciężką maszynę biurokratyczną. Sprawa komplikuje się przez to, że ta sama grupa ludzi, która kontroluje Związki Zawodowe, stanowi stronnictwo odpowiedzialne dziś za całość gospodarstwa narodowego. Poglądy góry są czasem całkowicie zgodne, w innym wypadku tylko częściowo, z poglądami i żądaniami dołów danego zawodu. Stąd trudność decyzji.

Robotnicy nie mogąc się doczekać nie to zatwierdzenia, ale nawet pozytywnych rokowań, wyłaniają na własną rękę komitety strajkowe, które znów na własną rękę szukają poparcia u towarzyszów pobliskich zawodów. Ostatnio prawie wszystkie strajki były „dzikie". Wydaje się, że Związki Zawodowe dojrzały w rozkwicie organizatorskim do gruntownej reformy w duchu mniejszych, ale całokształt gospodarczych potrzeb obejmujących zespołów grupowych. Jest również czas najwyższy, jak twierdzą niektórzy, wprowadzić robotników jako partnerów do przedsiębiorstw.

TRIUMF BLUMA

Kiedy premier francuski zażądał od społeczeństwa francuskiego redukcji płac i cen o 5%, Anglicy patrzyli sceptycznie na ten tak prosty i zdawało się naiwny sposób zwalczania inflacji. A jednak eksperyment się udał i nie tylko handel legalny, ale nawet „czarna giełda" usłuchała wezwania. Okazało się raz jeszcze, że skuteczniejsze od nakazów i zakazów „pod aresztem" jest apel do zdrowego rozsądku obywateli i poczucia wspólnoty interesów. W rokowaniach, jakie przeprowadził p. Blum w Londynie, postanowiono zacieśnić stosunki gospodarcze między obu państwami. Mówi się nawet o unii celnej, co ma zależeć przede wszystkim od opinii rzeczoznawców obu krajów.

Po zacieśnieniu związków Holandii z Belgią byłby to drugi, o ileż ważniejszy krok naprzód, ku zacieśnieniu i konsolidacji interesów narodów Europy oraz ich imperiów. Niepowodzenia Francji i jej impasy polityczne nie powinny zasłaniać oczu na jej olbrzymie zasoby i geniusz rasy.

OKUPACJA FRANCUSKA

Sprawozdania z okupacyjnej strefy francuskiej donoszą, że podczas gdy Anglicy i Amerykanie dopłacają sumy do Niemiec, Francuzi osiągnęli nadwyżki. Podczas, gdy produkcja Ruhry osiągnęła w węglu 40 proc. przedwojennej, to zagłębie Saury wykazuje już 65 proc.

Francuzi nie tylko otworzyli wszystkie uniwersytety niemieckie, ale nadto stworzyli nowy w Moguncji. Dają niemieckim studentom stypendia na uniwersytety francuskie. Wiele rodzin francuskich przebywa na obszarze okupowanym, wielu Niemców wyjeżdża do Francji.

Ostatnie pisma doniosły, że urządzono na wielką skalę ruch turystyczny dla sportów zimowych w Alpach austriackich.

DEPRESJA NA GIEŁDZIE NEW-YORKU

Od listopada, co parę tygodni, nadchodzą na giełdę papierów wartościowych w New Yorku kryzysy słabości. Nie ma co prawda paniki, ale powszechna niechęć do kupna i stałe zmniejszanie się obrotów wywołują rozliczne komentarze. Przypuszczano pierwotnie, że przyczyną niechęci do lokat w przemyśle jest obawa strajków. Po zwycięstwie Trumana nad Lewisem i po znacznej zniżce cen artykułów konsumpcji napięcie walki społecznej osłabło. Stworzono znów mało prawdopodobną teorię, że ogół amerykański, **„per analogiam"** do poprzedniej wojny, spodziewa się w roku 1948 krachu podobnego, jak był w r. 1921. Przypuszczamy, że powodem wstrzymania się od zakupów jest raczej przekonanie społeczeństwa amerykańskiego, iż polityczna sytuacja na świecie nie jest ustalona.

St. R.

POSZUKIWANIA

Pchor. **Węgiel Bronisław** (Civilian Guard, Training Center „Kościuszko" 17 a, Manheim-Käfertal, Germany) poszukuje następujących osób:

Babula-Olszewski Bolesław,

Ziętara Leon (obaj przybyli do Niemiec w 1945 roku i byli w Murnau).

Mgr Mieczko Franciszek (b. jeniec),

Rzepka Gurdek,

Bajor Jerzy (obaj przybyli do Niemiec w 1945 roku. Studiowali w Innsbrucku.)

Stasik (pchor.).

Ogłoszenie

UNIVERSITY ENTRANCE EXAMINATION

English Tutor prepares privately or by Correspondence. Write: Tutor, 64 Finchley Court, London, N. 3.

Z HUMORU FRANCUSKIEGO

Ciekawy jest ten Kipling — prawda? „La Bataille"

ABONAMENT „ORŁA BIAŁEGO"

W celu zaabonowania „Orła Białego" w W. Brytanii wystarczy wyciąć niniejszy kupon i po wypełnieniu przesłać w kopercie pod adresem: Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1.

Należność za prenumeratę z przesyłką pocztową miesięcznie 2 sh 6 d, kwartalnie 7 d, rocznie 25 sh prosimy załączać w Postal Orderach, Money Orderach lub czekiem.

Dla uniknięcia pomyłek prosimy o czytelne wypełnienie kuponu.

Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1.

Proszę o przysłanie pod adresem . . . . . .

Imię i nazwisko

. . . . . .

Dokładny adres urząd pocztowy

. . . . . .

stacja kolejowa

. . . . . egzemplarzy tygodnika „Orzeł Biały", poczynając od dnia . . . . . .

ilość

Należność za okres 1 miesiąca — 3 miesięcy — 1 roku (niepotrzebne skreślić) **załączam**

Dn. 1947

. . . . . .

podpis zamawiającego

PRENUMERATA z przesyłką pocztową:

W BRYTANII szylingów: miesięcznie 2/6, kwartalnie 7/, rocznie 25/. Należności za prenumeratę nadesłane czekiem, Postal Orderem lub Money Orderem przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD., 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1. Tam też należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.

W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60, Należności za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. . . 785.066, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres

WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480.

W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1.50, kwartalnie 4.30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case postale 36.

WE WŁOSZECH lir: miesięcznie 120, kwartalnie 360, rocznie 1440.

W SZWECJI koron: miesięcznie: 2.50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie", Riddaregatan 25/I, Stockholm.

OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii przyjmuje wyłącznie firma BERRY Company, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2.

NADESŁANYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA

ADRES REDAKCJI: Bruxelles (Schaerbeek) 186a, Avenue Rogier
WYDAWCA: S. Philippe. Reg. de Comm. No. 141562/41 = Bruxelles

Imprimé en Belgique par Imprimerie Industrielle et Financière „IMIFI" S. A., 4", rue du Houblon, Bruxelles